

## Nad uchwałą V Zjazdu PZPR

„We współczesnym świecie nauka decyduje w rosnącym stopniu o rozwoju sił twórczych kraju, a jej wyniki są podstawowym czynnikiem postępu społeczno-gospodarczego narodu” — powiedział Władysław Gomułka w referacie sprawozdawczym KC PZPR na V Zjeździe partii. Stwierdzenie to, syntetyzując punkt widzenia partii na rolę i znaczenie badań naukowych, może być uznane za jeden z podstawowych wyznaczników drogi ku nowoczesności, wytyczonej dyskusją i uchwałami Zjazdu.

Ta wysoka ocena miejsca nauki w życiu naszego społeczeństwa nie jest w polityce partii nowością. Świadczy o tym choćby fakt, że nakłady państwa na badania naukowe wzrastały w latach 1961—1967 dwukrotnie szybciej niż dochód narodowy, osiągając w roku 1967 sumę 11,5 mld złotych. Liczba zatrudnionych w całym systemie nauki polskiej przekroczyła w tym czasie poziom 100 000. Jest to już siła armii, której natarcie na określonych kierunkach frontu naukowego może i powinno przynieść społeczeństwu wyniki decydujące o postępie.

Uchwała Zjazdu stawia przed wszystkimi pracownikami nauki nowe, poważne zadania. Wynikają one jednak nie tylko z bieżących potrzeb społeczeństwa, ale także z głębokiej, krytycznej analizy dotychczasowej sytuacji naszej nauki i systemu kierowania nią przez właściwe czynniki państwowe i polityczne. W tym względzie uchwała wskazuje jako zasadnicze niedostatki: rozproszenie tematyki badawczej, niewłaściwe formy organizacyjne i dysproporcje, w rozmieszczeniu kadr o wysokich kwalifikacjach. Wszystkie te trzy przyczyny obniżania efektywności badań naukowych są zresztą ze sobą ściśle powiązane.

**TEMATYKA BADAWCZA** musi ulec koncentracji wokół zadań o węzłowym znaczeniu dla dalszego rozwoju kraju. Wynika to nie tylko z pilności potrzeb gospodarki narodowej, w zaspokojeniu których nauka i jej twórcy mogą odegrać rolę zasadniczą, ale także z potrzeb i sytuacji samej nauki. We współczesnej nauce bowiem główną metodą działania jest coraz bardziej praca zespołowa, praca ogromnych kolektywów uczonych, praktyków i personelu pomocniczego; w tych warunkach prowadzenie badań na całym froncie nauki jest możliwe tylko w niektórych najpotężniejszych państwach świata, dysponujących nie tyle nawet większymi od nas środkami (choć i to jest oczywiście niezwykle istotne), ale przede wszystkim wielokrotnie liczniejszą kadrą. Tak więc skupienie uwagi uczonych na wybranych zagadnieniach będzie miało znaczenie podwójne: dla państwa, poprzez większe i efektywniejsze włączenie najlepszych fachowców do badań nad problematyką najściślej związaną z życiem kraju — i dla samych uczonych, którzy działając zespołami na precyzyjnie określonych kierun-

kach uzyskają znacznie szybciej wyniki o istotnym znaczeniu naukowym.

**FORMY ORGANIZACYJNE**, wynikające z takiego ustawienia celów, muszą oczywiście również ulec zmianie. Jednym z głównych zadań jest tu usprawnienie tradycyjnej i — powiedzmy szczerze — przestarzałej struktury organizacyjnej szkół wyższych i placówek badawczych, przede wszystkim zaś wprowadzenie elastycznych form organizacyjnych, umożliwiających szybkie koncentrowanie i przegrupowywanie

## Zadania dla nauki

kadr i środków w zależności od aktualnych zadań. W tym względzie w ciągu bieżącego roku wiele już zrobiono — że przypomniemy choćby eksperymenty, polegające na powoływaniu zespołów uczelnianych do rozwiązywania określonych problemów, nie mieszczących się w dotychczasowym hierarchicznym ustroju szkoły wyższej. Innym takim działaniem jest likwidacja w niektórych wydziałach wyższych uczelni struktury katedralnej i zastępowanie jej bardziej operatywną strukturą dużych instytutów. Zmiany te muszą jednak być kontynuowane i z eksperymentu przejść w fazę codziennej praktyki.

Szczególnie ważna rola przypadnie w najbliższej przyszłości Komitetowi Nauki i Techniki. Uchwała V Zjazdu stwierdza, iż w latach 1969—1970 należy określić węzłowe problemy naukowo-techniczne o poważnym znaczeniu dla gospodarki (właśnie owe wybrane kierunki natarcia armii uczonych) na okres następnych pięciu lat. To zadanie — niezwykle odpowiedzialne i wcale nieproste — staje przed Komitetem Nauki i Techniki, któremu przypadnie poza tym w udziale wykonywanie określonych czynności w zakresie koordynacji, regulacji, nadzoru i kontroli. Oczywiście, KNIiT będzie przy tym współpracował ściśle z Komisją Planowania, resortami i Polską Akademią Nauk, w oparciu o istniejące organa doradcze skupiające najwybitniejszych uczonych i specjalistów-praktyków. Uchwała przewiduje z drugiej strony, że operatywne planowanie i kierowanie badaniami pozostanie w gestii ministerstw i zjednoczeń. W ten sposób system kierowania nauką polską stanie się bardziej zwarty i skuteczny.

**PROBLEM KADR**, który w nadchodzącym pięcioleciu musimy starać się optymalnie rozwiązać, należy do najbardziej złożonych zagadnień całokształtu życia naukowego w naszym kraju. Z jednej strony istnieje tu zjawisko dysproporcji w nasyceniu kadrą o najwyższych kwalifikacjach różnych rejonów kraju i różnych pionów nauki — co wyraża się zarówno koncentracją specjalistów w Warszawie i kilku innych wielkich ośrodkach, jak i skupieniem większości najzdolniejszych pracowników nauki w szkolnictwie wyższym i PAN; z drugiej strony istnieje pilna potrzeba powiększenia szeregów pracowników nauki ze stopniem doktora we wszystkich dziedzinach życia naukowego. Obie te sprawy muszą być rozwiązywane kompleksowo. Uchwała stwierdza, że owe mu celowi należy podporządkować system studiów doktoranckich i podyplomowych oraz organizację staży krajowych i zagranicznych. Wielką rolę może w tym względzie odegrać także stosowana już, choć zbyt rzadko, praktyka wspólnego rozwiązywania określonych problemów przez mieszane zespoły uczonych i specjalistów-praktyków. I znów zyska na tym zarówno gospodarka, jak i sama nauka, dla której celów będzie można szerzej niż dotąd wykorzystywać dla udziału w tych wspólnych pracach laboratoria przedsiębiorstw i zjednoczeń.

Istotną rolę we wzmocnieniu naszej nauki, a także we wzmocnieniu całego obozu socjalistycznego, powinna odegrać szersza niż dotąd współpraca Polski z bratnimi krajami. Chodzi tu zarówno o tworzenie w miarę potrzeb międzynarodowych placówek naukowych, jak i specjalizację w dziedzinie badań.

BOGDAN MIS

## Aleksander Zyga

# Republika Tarnobrzaska w pryzmacie „literatury”

Zapoczątkowany przez Tomasza Dąbala w pierwszych dniach listopada 1918 roku rewolucyjny ruch chłopski w Tarnobrzasku i nazwany przez jego przeciwników ironicznie Republiką Tarnobrzeską w celu jej zohydzenia starali się oni w swych relacjach jak najbardziej napiętnować, w przeciwieństwie do jego uczestników i zwolenników, którzy występowali w jego obronie, a nawet usiłowali go apoteozować, uważając Republikę Tarnobrzeską za pierwszy krok i dogodny moment do wywalczenia w niepodległej Polsce należnych chłopom praw.

Republika Tarnobrzaska nie znalazła jakiegokolwiek szerszego odzwierciedlenia w literaturze. Jak dotąd, nie poświęcono temu rewolucyjnemu ruchowi chłopskiemu żadnego większego utworu poetyckiego czy prozaicznego, najwyżej tylko dalekie echa i aluzje dadzą się odnaleźć w niektórych dziełach i to u autorów, którzy byli naczynymi świadkami ówczesnych wydarzeń rewolucyjnych. Przede wszystkim wymienić tu się musi pamiętnikarskie relacje tych, którzy w tarnobrzaskim powiecie sprawowali wówczas władzę, dalej wiersze jej zwolenników, których strofy zachowały się nawet do dzisiaj w pamięci miejscowego ludu. Zawarta w owych pamiętnikach i wspomnieniach ocena wydarzeń Republiki Tarnobrzeskiej zależna jest oczywiście od stosunku autorów do tego chłopskiego ruchu rewolucyjnego: wahać się będzie od jego napiętnowania i zohydzenia w relacjach jej przeciwników do gloryfikacji pod piórem jej uczestników i zwolenników, zwłaszcza w wierszach pisanych od razu i na gorąco pod wpływem zachodzących wydarzeń w przeciwieństwie do wspomnień i pamiętników, w których dystans czasu pozwalał na bardziej rozumowy stosunek do nich.

Tematu Republiki Tarnobrzeskiej dotknęli w swych pamiętnikach: dr Jan Hupka, właściciel Niwisk i poseł na Sejm, autor wspomnień pt. „Z czasów wielkiej wojny światowej. Pamiętnik nie kombatanta” (Lwów, 1937) oraz ówczesny starosta tarnobrzaski dr Tadeusz Spis w „Ze wspomnień urzędnika politycznego” (Rzeszów, 1936). Relacje obydwu dygnitarzy tarnobrzaskich stanowią do dnia dzisiejszego, obok źródeł archiwalnych, materiał do opracowań dziejów Republiki, pozwalający na konfrontację z nimi.

Tak Hupka, jak i Spis, podobnie jak i wszyscy podopieczni Tarnobrzaskich i Dolańskich, nie tylko z niechęcią ustosunkowali się do Republiki Tarnobrzeskiej, ale napiętnowali jej twórców: Tomasza Dąbala i księdza Eugeniusza Okonia. Hupka uważa Dąbala za zbrodniarza: „(...) po gębie jego znać, że to pospolity zbrodniarz”. Nie mógł znieść, gdy w czasie ogłoszonych przez naczelnika państwa wyborów powszechnych, równych i bezpośrednich, bez różnicy płci zaistniały „wybitne szanse dla Dąbala”.

Spis poświęcił w swych wspomnieniach temu rewolucyjnemu ruchowi chłopskiemu osobny rozdział pt.: „Republika Tarnobrzaska”. Genezę jej widzi w rozbudzeniu się na długo przed pierwszą wojną światową ducha patriotycznego i uświadomieniu narodowym ludu tarnobrzaskiego: „Przez ludność tę został wystawiony na rynku tarnobrzaskim — pisał — pomnik Bartosza Głowackiego, a uroczystość

(Ciąg dalszy na str. 2)



STUDENCI

Fot. M. DZIERZGOWSKA



## List z Nowej Huty

MARIAN KRUCZEK w karykaturze Jerzego Sienkiewicza.



Jerzy Walawski

## Porządkowanie świata

Pokój wysoki niczym katedra. Dwa poziomy. Na parterze pracownia, warsztat, magazyn — wyżej, na konstrukcji przypominającej duży ganek, łożo... część mieszkalna. U wejścia pies, oczywiście z metalu, pies, który zanim został psem był może po części żelazkiem do prasowania, maszyną do szycia, fragmentem motocykla. Teraz pełni służbę u Mariana Kruczka i jest nad wyraz zdyscyplinowany. Nie waży się zejść na dół, choć na maszynie elektrycznej smaży się kiełbasa i smakowity zapach ogarnia pracownię. Weale jednak nie jestem pewien, czy owo cybernetyczne bydło nie zlaź nocy do magazynu i nie pożera części maszyn. Gospodarz jednak musi przynajmniej oko na to lasowanie, gdyż lubi zwierzązka szczególnie i zjeździł z nim kawał świata, odwiedził parę europejskich galerii sztuki współczesnej.

Prace artysty były ekspozowane na indywidualnych wystawach między innymi w Upsali, Sztokholmie, Brukseli, Miami; na zbiorowych (w małych gru-

pach) w Paryżu, Nowym Jorku, Kassel, Bochum. Wreszcie na ponad stu wystawach krajowych i zagranicznych, wśród których poczesne miejsce stała ekspozycja w Domu Sztuki w Rzeszowie, zawierająca 100 prac.

Rzeźby (?), reliefy, których artysta wykonał około 2 tysięcy znalazły swoich miłośników w całym świecie. Trafili do ZSRR i Japonii, Holandii i Węgier, obu Ameryk, Afryki, Azji, ale Marian Kruczek skrupulatnie odnotowuje swoją wystawę w Sanoku, bo pod Sanokiem są Płowce — jego rodzinną wieś. I w pięknie wydanym w Upsali katalogu jest taki fragment: „Marian Kruczek, Kraków, Polen — Fodd 1927 Płowce, Polen”. W owych „egzotycznych” dla zagranicznych miłośników sztuki Kruczka „Płowcach”, przeganił domorodnego, kilkunastoletniego karykaturzystę weselni goście, których miał zwyczaj podpatrywać przez okno. Niejedne bały zebrał za złośliwy ołówek!

Później przeszedł przez liceum plastyczne w Krakowie, przez

podchorążówkę, przez Akademię Sztuk Pięknych... i jeszcze na pierwszym roku otrzymał 3 nagrody za malarstwo w ogólnokrajowym konkursie. To był obraz w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, na autentycznym prześcieradle, malowany olejnymi farbami.

Dlaczego odbiegł od malarstwa, od płótna, od farb...? Z miłości do przedmiotów, fragmentów ozdób, rupieciarni z antykwiariatu i składnicy złomu...?

Zgromadził w swojej pracowni przedmioty wyeksploatowane do cna, pożyteczne niegdyś i pożądane, ale teraz pogrążone w skrajnej dezintegracji, stanowiące bezładne zbiorowisko trybików, uchwyłów, kół zębatych, kontaktów, wielobarwnych szkielek, koralików, ubioru, nakryć stołowych... Cały świat rzeczy pozbawionych sensu i formy, kształtu i symetrii — ofiara destrukcyjnego czasu, bo dwa są czasy, biegnące obok siebie, walczące o prymat. Czas budowy i konstrukcji, wzrostu i owocowania, narodzin, integracji — i ten drugi niszczący czas ruiny, rozpadu, rdzewienia... czas zepsutych zegarów, młynków do kawy, sprzętn, które utraciły sprężystość.

Od tej sterty złomu, rumowiska, rupieciarni odwracają się z pogardą inżynierowie, boczają się na nią esteci, nie dostrzegają filozofowie... Tylko Marian Kruczek pochylił się nad tym wszystkim z troską, a może z niepokojem, uświadamiając sobie to, czego nie mogli zrozumieć inni. On nie wybrał tych rzeczy, tego chaosu, tylko został przezeń wybrany Wielkim Porządkowym, bo miał tyle odwagi, żeby porządkować wszystko według własnych wyobrażeń, tyle siły, żeby walczyć z opornym twórczym, działać na przekór zniszczeniu, udowodnić jego bezzasadność.

Tak z metalu i szkła, plastiku, drewna, porcelany — kształtów drapieżnych, twardych, ostrych, opornych zaczął wyłaniać się inny świat, w którym znajduje się miejsce na zadumę i smutek, na baśń i legendę. I zyskuje sens kierownica, która nie ma aufa; guzik, który zapomnieli munduru; oczy bez łalki; tło bez cylindra — a sprężyna przemawia: „jestem jaszczurczym ogonem — czyż nie mam

tej samej giętkości, tego samego polysku”.

Jest radość w tym nowym świecie i groza. Wietrzą ją czułki fantastycznych owadów wybiegające zachłannie w przestrzeń... Ten motyw będzie się powtarzał wielokrotnie! Czulkii?! Macki? Radarowe anteny? Symbol wrażliwości artysty?!

Sztukę, a szczególnie malarstwo, pojmują niektórzy jako ocalanie piękna lub niepowtarzalnej brzydoty. Kreowanie własnego świata barw i kształtów. Mówią z patosem: „sztuka jest lustrem duszy i oczu”, więc wypadnie dodać, że może być odbiciem pustki wewnętrznej, małpiego grymasu, czy porozumiewawczym mrugnięciem do widza. Marian Kruczek dokonuje jednak zabiegu, który zda się zaprzeczać zdrowemu rozsądkowi, niewykonalnego na pozór — reanimacji przedmiotów, które uległy kilku śmierciom, powołania ich do życia w nowym, o ileż doskonalszym świecie! A jest to świat trwały, z nienaruszalnym porządkiem, pełen symetrii, ładu, który jest rekompensatą za chaos, w którym był pogrążony. Reliefy i rzeźby otrzymują trwałą betonową podstawę, zyskują harmonijną barwę, kształtów, treści — o ileż doskonalszą formę od poprzednich współ-wcieleń, o ileż bardziej indywidualną.

Przy tym wszystkim zostaje ocalone częściowo dzieło innych rąk ludzkich. Ktoś, kiedyś wykonał te wszystkie zdeintegrowane przedmioty i części, ktoś korzystał z ich usług, ktoś je pielęgnował. Zostały teraz ocalone, zebrane w nowe kształty, ale nie sposób jednak zapomnieć czym były kiedyś... przypominają o dawnym swoim przeznaczeniu, nie odzginają się od niego, mimo artystycznej nobilitacji. Może właśnie ta współpraca wielu rąk sprawia, że sztuka Mariana Kruczka z równą życzliwością jest przyjmowana przez najwytrawniejszych konserwatorów, jak przez ludzi zupełnie nie znających się na sztuce, przez dzieci, które z zachwytem patrzą na dziwostwo?

Mógł pójść śladem innych. Zmagać się z mniej opornym twórczym. Przeżywać uniesienia twórcze nie trudząc ręką pracą nad metalem, stałą, betonem. Mógł być po prostu malarzem, grafikiem, zwykłym rzeź-

biarzem... Jest czym jest — oryginalnym artystą, szukającym trudnych rozwiązań. Kocha nawet swój wysiłek fizyczny, swój trud... Porządkowanie świata nie jest łatwym zadaniem i nie sprzyja mu zbyt wypielęgnowane dionie. Nowy kształt zawsze rodzi w trudzie.

Późną nocą gaśnie światło w północno-wschodnich oknach punktowca przy nowohuckim Placu Centralnym. Artysta zasypia. Metalowy pies chyłkiem wymyka się na żer.

## Grudzień w DKF

Grudniowy program Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Klapy” przy WDK w Rzeszowie przyniesie miłośnikom sztuki filmowej sześć interesujących pozycji:

5 XII — „Zjazd rodzinny” (węg.) — presyencyonistycznym realizmem dramat psychologiczny, wyreżyserowany przez jednego z najmłodszych (ur. w 1933 r.) twórców węgierskiego „nowego kina” — Istvána Gaala. Wiejskie chrzciny, na które przyjeżdżają ludzie na wsi urodzeni i wychowani, lecz po „zrobieniu kariery w mieście nie mający ze swym dawnym środowiskiem nic wspólnego, dają okazję do konfrontacji charakterów i życiowych postaw. Gaal jako pierwszy w węgierskim filmie naszkicował niebezpieczeństwo konformizmu w środowisku artystycznym.

7 XII — „Stracony weekend” (USA) — słynne dzieło Billy’ego Wildera („Podwójne ubezpieczenie”) Wildera, uznane za najlepszy film roku 1945. Jest to opowieść o pięciu dniach życia nałogowego alkoholika, nazywanego przez ówczesnych krytyków „trepanacją czaszki postaci, opowiadającej swoje przeżycia”.

12 XII — „Wypadek” (ang.) — dramat obyczajowy w reż. Josepha Loseya, zaliczanego do europejskiej czołówki twórców wybitnych i zaangażowanych. Akcja „Wypadku” rozgrywa się w oxfordzkim środowisku uniwersyteckim i przedstawia charakterystyczne konflikty, powstające z konieczności wyboru pomiędzy obowiązkiem a sumieniem, uczuciem a rozumem. Film ten — obok „Powiększenia” Antonioniego — był największym wydarzeniem jubileuszowego festiwalu Canneskiego w ubiegłym roku.

19 XII — „Kości rzucone” (franc.) — wyreżyserowany przez Jeana („Symfonia pastoralna”) Delannoya „standardowy” film sarrowskiego egzystencjalizmu. Bardzo kontrowersyjne dzieło stara się odpowiedzieć na odwieczne wątpliwości, nekające człowieka, porusza kwestię wolności jednostki i wyboru moralnego.

21 XII — „Romanca na trąbkę” (CSRS) — pierwszy na naszych ekranach obraz, powstały w wyniku współpracy znanego reżysera Otkara Vavry z poetą Franstiskem Hrubinem. Film jest historią pierwszej, tragicznej miłości. Występuje jednocześnie — wg słów Vavry — „przeciw tym, którzy romantyzm uczucia w epoce planowania i cybernetyki uważają za przeżytek”.

28 XII — „Intymne oświecenie” (CSRS) — komedię obyczajową młodego (ur. w r. 1933) reżysera — Ivana Passera, twórczego kontynuatora metod i stylu Miłosa („Miłose blondynki”) Formana. Passera cechuje doskonała znajomość ludzkich charakterów, łącząca się ze specyficznym, nieco „czarnym” poczuciem humoru.

## Republika Tarnobrzaska w pryzmacie „literatury”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Jego odsłonięcia była wielką manifestacją uświadomienia narodowego mas włościańskich tutejszego powiatu, w której wzięli udział przedstawiciele włościanstwa z całej ówczesnej Galicji i z kordonu”. Autor wspomnień, próbując ukazać genezę Republiki Tarnobrzelskiej oraz jej istotę, widział ją nie tylko w pobudkach klasowych, ale także psychologiczno-sytuacyjnych. Relacja Spisa wyjaśnia żywiołowość tego rewolucyjnego zrywu chłopskiego, a jego powodzenie miejscowymi stosunkami i psychologią tłumu. Działalność księdza Okonia argumentuje autor posługiwaniem się tej samej metody, jaką niegdyś stosował wobec ludu ksiądz Sciegienny: „Zawiódł was ks. Stojałowski, zawiódł Stapiński — argumentował — ja jestem od Boga posłany do Was”. Warunki powodzenia Republiki Tarnobrzelskiej leżały w przypadkowym skumulowaniu się chłopskiego przywiązania do ziemi oraz ciężkiej sytuacji materialnej chłopstwa, spowodowanej wojną. Gdy u chłopów naszego zeszły się dwa elementy, głód ziemi, przywiązanie do niej, gdy z ust księdza posłyszeli słowa uprawniające ich do zajęcia ziemi, a zarazem formalne słowa rozgrzeszenia, można zrozumieć, że powstał ruch masowy, którego nie można było opanować, a natomiast ci, którzy go ruszyli, tj. Dąbal i Okon, stali się bożyszczami ludu (...). W metodzie tej było dużo zrozumienia psychologii tłumu. Ludność znękana stosunkami wojny, łaknęła wiadomości ze świata (...). Toteż na widok zebrań, obrad, ludzie porzucali interesy jarmarczne, porzucali nabożeństwa, byle móc wiecować. Dlatego wiece te, bez jakiegokolwiek propagandy gromadziły po parę tysięcy osób. Informacje o tych wiecach, o ilości osób, udział w nich biorących, rozchodziły się daleko i szeroko i ścierały przy najbliższej sposobności dalsze tłumy. Doszło do tego, że wiece w Tarnobrzegu i Rozwadowie w dni jarmarczne liczyły po 5000 osób (...). Ulubionym, a zarazem niejako reprezentacyjnym miejscem dla wieców tych był pomnik Bartosza Głowackiego na rynku w Tarnobrzegu. Przejęcie wygłaszanymi tam mowami było tak wielkie, że nie można było pomyśleć, aby ktoś ośmielił się przerwać mowy. Rozniesiono by go”.

Akcentując psychologiczne i klasowe momenty Republiki Tarnobrzelskiej, spis nie pomija poglądów ideowych przywódców ruchu i oddziaływania nań idei Rewolucji Październikowej. „Okon i Dąbal — pisze — urosli w oczach szerokich, obalamuonych mas włościańskich do poziomu wielkości — a gdy władze nie okazały żadnej aktywności, powstało przekonanie o ich zupełnej wszechwładzy. W ten sposób panami sytuacji w powiecie zostali ci dwaj trybuni ludu. Wybrani posłami, używali nietykalności poselskiej, a władając bezspornie masami ludu, oni rzadzili, nie oglądając się na władze”. Były starosta tarnobrzelski nie omieszczał zauważyć w tym ruchu i zainicjowanej przez Dąbala z Rosji infiltracji propagandy komunistycznej. „Powiat był zasypywany bibułą komunistyczną. Zaczęły w państwie wychodzić różnego rodzaju pisma periodyczne, jak: „Pług”, „Rola”, „Buletyn” i inne. Rozsyłano broszury: ulotki, początkowo pocztą otwartą, gdy władze jednakże zwróciły na to uwagę, zaczęły przychodzić w kopertach przeróżnych firm handlowych

(...) Po powiecie rozsiane były placówki komunistyczne w osobach tutejszych obywateli, którzy wróciwszy z niewoli rosyjskiej, jako komuniści prowadzili tu nader wręcznie ukrywającą się przed okiem władzy robotę”. Konkludując spis stwierdza: „Chłop polski ma w duszy ukryte elementy poczucia prawa i słusznosci. Istnieje osobna psychologia tłumów i jego nastroj. Dąbal miał swoje przekonania, posiadał pewną ideologię i wierzył w nią. Miał wewnętrzną impuls do życia publicznego, energia jego szukała ujścia w tym kierunku”.

Nie znalazła aprobaty Republika Tarnobrzaska także w pisanim w roku 1936 reportażu nauczyciela rzeszowskiego gimnazjum Jerzego Ostrowskiego pt. „Czerolista konieczyna”, jaki znalazł się w jego książce „Widły Wisły i Sanu”. Wymieniając radykalnych działaczy ludowych Rzeszowszczyzny nie omieszczał autor napisać o nich, jak w tych stronach rozdmuchali namiętności chłopskie smutnej pamięci ks. Okon i „major” Dąbal”.

Nie zareagował silniej na wydarzenia Republiki Tarnobrzelskiej przebywający wówczas w Radomyślu Jan Wiktor, aczkolwiek jeden ze swoich reportaży datował wtedy „ze sławetnej Republiki Tarnobrzelskiej”. Wstrząsnęła ona społecznym sumieniem pisarza, chociaż nigdy nie zaaprobował sposobu jej walki o prawa chłopów, bowiem zawsze razili go idee przewrotu społecznego. Poza wzmiankami i aluzjami nie znajdziemy większych oddźwięków Republiki Tarnobrzelskiej i w twórczości poetyckiej oraz prozajcznej Stanisława Piętaka, mimo, że w latach chłopięcych miał być świadkiem wiecu rewolucjonizującego chłopstwa, o czym wspomniął w swej przedmowie do wyboru wierszy swego krajana Ferdynanda Kurasia, który też chwilowo uległ psychozie Republiki Tarnobrzelskiej.

„Wtedy to chłopci, żołnierze, powróciwszy z niewoli rosyjskiej, komunistowali powiat, próbując stworzyć w nim republikę ludową. Kurasi w pierwszej chwili dał się ponieść rewolucyjnej fali i nieoczekiwanie, ku oburzeniu miejscowych kacyków endeckich i miejscowego obszarńictwa, stał się na krótki czas poetyckim heroldem biednej masy chłopskiej, pisząc okolicznościowe utwory przeznaczone do wygłoszenia na wiecach i manifestacjach ludowych. Pamiętam te wykładki z młodych przeżyć. W roku 1919 w dniu święta 3 maja odbyła się w Sobowie manifestacja rewolucyjna nastawionego okolicznego chłopstwa. Brał w niej udział Kurasi, ktoś czytał jego okolicznościowy wiersz”. Za Piętkiem w kreowaniu Kurasia na barda Republiki Tarnobrzelskiej poszedł niedawno w drukowanym na łamach „Widnokręgu” Ryszard Dzieszyński. Niedrukowane owych wierszy wygłoszonych na wiecach Republiki Tarnobrzelskiej oraz relacja w niedrukowanych jeszcze pamiętnikach części drugiej Kurasia świadczyłyby, że chłopski poeta wstąpił w tym ruchu, oddając się znowu pod „opiekę swych protektorów dzikowskich, skoro pisze tu, że od wydarzeń Republiki Tarnobrzelskiej trzymał się z daleka”. „Zaraz po odzyskaniu wolności ukazał się na arenie tarnobrzelskiego powiatu niepowołani budowniczości ustroju państwowego w Polsce z ks. Eugeniuszem z Radomyśla nad Sanem i Tomaszem Dąbałem z Sobowa na czele”.

(Ciąg dalszy nastąpi)

(Jr)



Ryszard Dzieszyński

# Aptekarz z Łańcuta



ŁAŃCUT

Fot. M. KOPEC

W 1888 roku redakcja „Czasopisma Towarzystwa Aptekarskiego we Lwowie” zwróciła się do Jana Zeha aptekarza z Borysławia z prośbą o nadesłanie artykułu dotyczącego wspomnień sprzed 35 laty, kiedy to zabłysła pierwsza lampa naftowa otwierając dla rodzących terenów w Galicji erę rozkwitu gospodarczego. Jan Zeh uczynił zadość prośbie i przestał na ręce redaktora Wincentego Jabłonowskiego obszerną relację, która została zamieszczona w 12 numerze pisma 1889 roku.

Kim był Jan Zeh i jaki związek miał z nacierstwem galicyjskim, skoro redakcja „Czasopisma Towarzystwa Aptekarskiego” poprosiła go o tak cenny z historycznego punktu widzenia materiał?

Otóż autor wspomnień był pionierem przemysłu naftowego w Galicji, pierwszym, który rozpoczął fachową destylację ropy naftowej. On też pierwszy uzyskiwał z ropy praktyczne produkty przemysłowe.

Niestety, nie dopisało mu szczęście. Cała sława pioniera nacierstwa spadała na jego kolegę z apteki Mikolascha we Lwowie — Ignacego Lukaszewicza. Zeh pozostał w cieniu, borykając się przez dłuższy okres życia z trudnościami materialnymi.

Jan Zeh urodził się w 1817 roku w Łańcutu, jako syn aptekarza, który miał swój zakład w kamienicy przy Rynku. Zehowie pochodzili prawdopodobnie z Węgier, ale już dawno zdążyli się spolonizować, stając się polskimi patriotami. Dwóch stryjów Zeha brało udział w powstaniu listopadowym. Jan Zeh od 1830 roku był uczniem w aptece w Samborze. Dość późno, bo w 1844 roku został studentem Wydziału Farmacji Uniwersytetu Wiedeńskiego. Dyplom uzyskał w 1847 r., a więc miał wtedy 30 lat.

Z naftą zetknął się po raz pierwszy już w 1830 roku, jako uczeń aptekarski w Samborze. Mianowicie przynosił ją w butelkach do apteki miejscowy włościanin nazwiskiem Bajtała. Ow Bajtała destylował surową ropy naftową w prymitywnym kotle, z doprawioną lufą od strzelby jako chłodnicą i roznosił potem naftę w butelkach na plecach po całej prawie Galicji, aż do 1846 roku. Po tem zaś wszelki ślad po nim zaginął. Prawdopodobnie miało to związek z rabacją Jakuba Szehi. Zbuntowani chłopcy mordowali wszystkich napotkanych wędrowców, uważając ich za szpiegów.

Po ukończeniu studiów Jan Zeh znalazł pracę w słynnej aptece „Pod Gwiazdą” we Lwowie, będącej własnością Piotra Mikolascha. Tam też zetknął się z Ignacym Lukaszewiczem, który podobnie

jak on przyszedł do apteki świeżo po studiach w Wiedniu. Było to w 1852 r. i data ta stanowiła moment zwrotny w karierze obu farmaceutów. W tym bowiem czasie do apteki zgłosił się Abraham Schreiner, propinator z Borysławia, wraz z próbkami ropy naftowej, z której rzekomo chciał pędzić wódkę. W rzeczywistości jednak chodziło mu o uzyskanie preparatów farmaceutycznych. Schreiner destylował ropy i miał w tej pracy pomocników. Zeh wybrał się do niego w odwiedzinny, ale stwierdziwszy, jak prymitywne ma laboratorium, wolał czym prędzej stamtąd wycofać się, po czym doszedł do wniosku, że jak do tej pory Jehowa skutecznie czuwa nad swym wyznawcą, bo tylko tym można tłumaczyć, że borysławski propinator nie wyleciał jeszcze wraz ze swą destylatornią w powietrze...

Piotr Mikolasch, widząc że Zeh interesuje się ropy naftową, polecił mu oczyścić płyn do celów farmaceutycznych. Liczył na to, że Zeh uzyska z ropy preparat mogący zastąpić poszukiwany na rynku lek Oleum Petrae Album. Zeh stanął na wysokości zadania i uzyskał żądany preparat. Wobec takiego obrotu sprawy wniosł do władz prośbę o nadanie mu przywileju na „właściwe oczyszczanie nafty”. Przywilej ten został mu przyznany i Zeh zabrał się do wyższej pracy.

Pracował całymi dniami i nocami, niemal nie rozbiegając się. Wokół niego unosiła się przykra woń, gazy wydobywające się z destylowanej ropy przyparowały go o bóle głowy. Cały zaś był przesiąknięty wonią nafty. Kiedy wychodził na ulicę, ludzie oglądali się za nim, pokazywali go sobie palcami i znacząco stukali się w czoło.

Ignacy Lukaszewicz brał udział w jego pracach w charakterze pomocnika. Niemniej opanował również jak on dobrze metodę destylacji, co wykorzystał potem na dużą skalę. Gdy nafta została już uzyskana skonstruował po licznych eksplojach wraz z blacharzem lwowskim Adamem Bratkowskim pierwszą lampę naftową. Zapoleła ona w aptece Mikolascha. Wkrótce zarząd szpitala we Lwowie zakupił lampy i 1000 m sześć. nafty. Bratkowski otrzymał potem mnóstwo zamówień i doszedł do wielkiego majątku. Natomiast Lukaszewicz wywędrował do Gorlic, a potem w Jasieleskie. Tam też założył destylarnię i zawiązał spółkę z Tytusem Trzecińskim z Polanki oraz Karolem Klobasą z Bóbrki i Zręcina.

Tymczasem Jan Zeh został we Lwowie. Założył tam sklepik z naftą. Destylował ropy, przerabiał odpadki na smary, walczył z

brakiem kapitału i pomocników. Swego przywileju nie mógł należycie wykorzystywać z braku środków, ale też nie chciał go sprzedać, mimo iż Mendel Sachs, handlarz zboża z Drohobycza chciał go kupić. Przy tym wszystkim Zeh był osobnikiem z natury koleżeńskim i nie krył przed kolegami swych tajemnic zawodowych, co oczywiście nie omieszkali wykorzystywać na każdym kroku, podpatrując jego metody.

Zeh prowadził sklep przy pomocy żony, Doroty z Obłoczyńskich, młodszą, bo 17-letnią w chwili ślubu dziewczyną oraz jeszcze młodszej od niej — o 3 lata — szwagierki Herminy. Były to dzielne kobiety, Zeh miał wspaniałe współpracownice. Dzięki nim na wystawie przemysłowej w Monachium w 1854 roku firma Zeha otrzymała dyplom pochwalny.

W lutym 1858 r. na Zeha spadł nieoczekiwany cios. Przebywając w Drohobyczu, przeszedł do swego sklepu beczkę czyszczonej nafty. Przy zdejmowaniu z wozu, beczkę uszkodzono i z wnętrza zaczęła wyciekać nafta. Na ulicy utworzyła się kałuża, a strumyk nafty prowadził aż do środka sklepu. W sklepie znajdowały się podówczas żona Dorota, jej siostra Hermina oraz dwóch klientów. Jakiś przechodzący żartowniś przytknął płonącą zapalkę do kałuży. Buchnął płomień, który przerzucił się do sklepu i ciężko poparzył znajdujących się w środku, do tego stopnia, że tego samego dnia osobę tę zmarły.

Obie siostry — jedne z pierwszych ofiar nacierstwa — spoczywają we wspólnym grobie, na cmentarzu we Lwowie. Na płycie nagrobkowej wyryto epitafium:

Chwila jedna, jedno мгновение  
I tylko garść prochu nikłego  
I tylko straszne wspomnienie  
I nic więcej i tyle  
wszystkiego?  
Tak tu nie więcej, lecz  
w wieczność

Śmiercią związane siostrzyce  
Blaskiem pełnej świecy  
piękności  
Jak ofiarne białe gołębice.

Pożar sklepu spowodował ruinę materialną Zeha. Przez cały rok był również wytracony z równowagi psychicznej. Nieszczęścia sypany się jedne za drugimi. Jeden z przyjaciół, architekt, wziął pożyczkę, za którą Zeh poręczył — i wyjechał do Ameryki, gdzie szybko zmarł. Natomiast Zeh musiał spłacać jego dług.

Zeh wrócił do apteki Mikolascha, gdzie pracował jako zarządca. W 1861 r. ożenił się ponownie — z ocalałą siostrą Dorotą i Hermyną, Marią. W 1875 roku uzyskał koncesję na aptekę w Borysławiu. Dopiero wtedy uśmiechnęło się do niego szczęście. Apteka zaczęła dobrze prosperować. Zeh miał liczny i fachowy personel. Wykształcił córki, wydał je dobrze za mąż (również za farmaceutów), po czym wycofał się z

interesu, oddając aptekę w zarząd jednemu z zięciów. Zmarł w 1895 roku.

Wprawdzie Zeh pierwszy zainteresował się ropy naftową, lecz Lukaszewicz posiadał większy talent organizacyjny, był bardziej przenikliwy, wytrwalszy. Dlatego też to jemu przypadły w udziale wszelkie laury — na które w pełni zasłużył swą pracą.

O Zehu zaś kompletnie zapomniano. W 1935 r. przypomniał jego sylwetkę prof. Tadeusz Estreicher, ale mimo to nie przysporzył mu większego rozgłosu.

Rok temu minęła 150 rocznica urodzin Jana Zeha oraz 70 rocznica śmierci. Dzisiaj oczywiście za późno urządzać mu jubileusz. Ale może Łańcut, w którym Jan Zeh urodził się i wychował i dokąd później ścigał jeden z jego wnuków, również farmaceuta, by poszukać śladów dziadka i pradiadka — uczci pamięć zapomnianego pioniera nacierstwa polskiego.

## Rozstrzygnięcie konkursu „25 lat ludowego Wojska Polskiego”

Z inicjatywy Wydziału Kultury Prez. WRN, Zarządu Okręgu ZPAP, Wojewódzkiego Sztabu Wojska Polskiego i Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie zorganizowany został konkurs „25 lat ludowego Wojska Polskiego”.

5 b.m. jury pod przewodnictwem art. plastyka Jadwigi Dzieńdziewicz oceniło 17 nadesłanych prac.

I nagrodę w dziale malarstwa przyznano Stanisławowi Kuci za obraz pt. „Na wszystkich frontach”, dwie drugie nagrody otrzymali Renata Niemirska-Pisarek i Zdzisław Ostrowski, dwiema III nagrodami wyróżniono prace Tadeusza Koziola i Zygmunta Czyża.

Przyznano również jedno wyróżnienie Stanisławowi Chrapkowskiemu.

W dziale rysunku pierwszej nagrody nie przyznano, a dwie II otrzymał Adolf Jakubowicz i Maria Siteń. Wyróżnienie w dziale rzeźby otrzymał Krzysztof Bukala.

Z 2-tygodniowego artystycznego tournée po Związku Radzieckim powrócił reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca „Nafta” Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Górników w Krośnie. O sukcesach scenicznych i wrażeniach z dalekiej wyprawy podkarpackich artystów amatorów mówią: sekretarz ZO ZZG — Kazimierz Syrek i instruktor kulturalno-oświatowy — Jan Fiałkowski.

— Zespół nasz gościł w ZSRR na zaproszenie radzieckiej CRZZ. Po bezkresnych obszarach Kraju Rad przemierzaliśmy 7.500 km. Zespół dał siedem koncertów w następujących miastach: Brześć, Lwów, Baku, Wołgograd i Moskwa. Wszędzie byliśmy podejmowani niezwykle serdecznie.

Program przygotowała Elwira Turka w oparciu o tańce i pieśni ludowe regionu rzeszowskiego i lubelskiego, a także utwory estradowe.

Już w czasie pobytu w ZSRR zespół otrzymał nowe zaproszenie, tym razem Związków Zawodowych Republiki Gruzjińskiej do odbycia na-

stępnego tournée. Nie jest wykluczone, że dojdzie ono do skutku w przyszłym roku.

Wynieśliśmy moc miłych i serdecznych wrażeń. Gospodarze umożliwili nam zapoznanie się z ogromnym dorobkiem w wielu dziedzinach; zwiedziliśmy nie tylko miasta, w których dała występy „Nafta”, ale i wiele innych. Szczególne wrażenie, nie mówiąc o stolicy, Moskwie, miały na nas Wołgograd, miasto starte z powierzchni ziemi przez niemieckich faszystów, a teraz pięknie odbudowane, kwitnące życiem. Na zawsze pozostaną w naszej pamięci obrazy z terenu zacieklej walk w okolicach Wołgogradu; monumentalny pomnik na wzgórzach Kurhanu Mamaja. W Moskwie zwiedziliśmy Mauzoleum Lenina. Długo można by wymieniać inne jeszcze atrakcje: jak pobyt w Teatrze Wielkim ZSRR w Moskwie na operze „Optymistyczna tragedia” A. Cholminowa czy też pożegnanie przez reprezentacyjny kwartet męski Gruzji, który przyjechał do Moskwy specjalnie na powitanie kosmonauty gen. Bierjiegowa.

## Artystyczne tournée po Kraju Rad





## Rozmowy o pracy



Krystyna Świerczewska

# Wśród królów połonin bawełny, życia ludzkiego i śniętych ryb

Siedzimy w gabinecie, w którym jak w soczewce skupia się zło. Tu nie mówi się o dobrej pracy, tu roztrząsa się przestępstwa powstałe ze złej pracy: usiłuje się je podciągać pod odpowiedni przepis, dozować karę. Tu — zdarza się i tak — że prawo bywa bezsilne, że przepisu brak, że indywidualne ludzkie zło działanie bierze się ze zbiorowych wykroczeń i największą troską bywa sprawiedliwe rozgraniczenie odpowiedzialności, tu szuka się socjologiczną metodą przyczyn, myśli nad profilaktyką. Tu bowiem casus lekomyślności, złe spełnianie obowiązku staje przed wojewódzkim prokuratorem — mgr Władysławem Biernatem.

Rozmawiamy o nich — królach lenistwa, fanfaronady, złodziejskich sztuczek, lisich wybiegów, ograniczonych kwalifikacji, jednostronnych gorliwca, którym plan i efekty finansowe przysłaniają człowieka, jego bezpieczeństwo, poza własną — prawidłowy rozwój wszystkich dziedzin gospodarki. I muszę wyznać od razu, że bardziej od prawnej kwalifikacji czynów — interesuje mnie ich strona moralna: że nie szukam sensacji karnej — lecz tropić usiłuję swoistą złą prawidłowość przypadków, przyczyny za nią leżące, smutną powszechność, ba, swoistą monotonię wykroczeń, która pozwala na równie smutne uogólnienie.

I ani się spospierzam, jak nasuwa mi się wniosek, że obok strachu przed prokuratorem, który każdemu potencjalnemu

przestępcy nakłada wędzidło, istnieje jeszcze wiara we własną bezkarność, śmieszna wiara, że — może — jakoś — to — będzie, że — a nuż się — uda. Wiara przyskająca zresztą na ogół zawsze pod naporem rzeczywistości. Wiara rozwiana tomami opasłych akt, leżących przed nami. Wiara zamieniona już w prawniczą formułę iluś tam tysięcy złotych grzywny i iluś tam lat więzienia. A wszystko zaczyna się na ogół niewinnie i uczciwie zwykłą umową o pracę, która powinna i mogła być bez zarzutu.

Widzi pani — mówi prokurator Biernat — oprócz umowy o pracę istnieje cała sfera przepisów, zarządzeń, regulujących sposób i metody tej pracy. I więcej mamy stracił tak w skali krajowej jak i wojewódzkiej z nieuwzględnienia tych przepisów, aniżeli z chęci zerwania umowy, czy jawnej złej woli.

Z tego by wynikało, że ludzie nie zawsze zdają sobie sprawę, iż źle pracują, że nie zawsze zamierzona perfidia prowadzi do przestępstw?

Oczywiście. Rozróżniam sporo przyczyn, z których można by stworzyć już niepodważalną definicję złego stanu pracy: jestem pewien na przykład, że nie miałibyśmy co robić jako prokuratura, gdyby przestrzegano ściśle przepisów bhp, gdyby zniknęło w narodzie fałszywe przekonanie, że wymyślono je dla utrudnienia pracy — nie zaś dla bezpieczeństwa człowieka.

Niedobrze się robi, gdy człowiek ma do czynienia z takimi geniuszami odwagi, z których jeden z

wiadrze z benzyną płucze element konstrukcyjny, drugi, obok spokojnie pali „sporta”, trzeci nonszalancko przechodząc, zawiąza nogą o wiadro, drugi gasi spokojnie na podłodze benzyną polanej niedopałek — potem już pirotechnik był by wstrząśnięty i nie ma o czym mówić, chyba że o nauczone kosztującej miliony. To samo gdzie indziej, z nieco zmienioną scenografią. 15 milionów strat, bo opryskiwano farbą elementy w pomieszczeniu urągającym przepisom o pożarze. To samo gdzie indziej, gdzie wbrew zdrowemu rozsądkowi, w magazynie pełnym bawełny, pyłu, który stale się w takich pomieszczeniach unosi, robi się na poczekaniu roboty spawalnicze przy wrotach wjazdowych, a w chwilę później, jak na sensacyjnym filmie, płonie bawełna, wysiłek ludzki, grosz narodowy. Państwo bogate — państwo zapłaci.

— Za to, że spał instruktor bhp? Ze spało kierownictwo, że ludzie o mentalności siedmiolatka — choć i ten już jest dostatecznie uświadomiony, że benzyna nie lubi ognia — z brawurą kozietulskich szarżowali niebezpieczne flanki bez potrzeby?

— Otóż to — bez potrzeby, nie myśląc, z lekceważeniem. Srogo nas kosztują takie lekceważenia. Czy pani pamięta głośny proces przeciw Fabryce Płyt Pilśniowych w Przemysłu; owe ławice śniętych ryb, zatrute dwie największe rzeki polskie, milionowe straty i ogólnopolski skandal? I czy pani uwierzy, że po wybuchu skandalu, usterkę powodującą zbyt duże stężenie fenolu w wodach Sanu potrafiiono usunąć dostojnie w jeden dzień. Jak to nazwać?

— Niestety — kosztownym skandalem. Ale poza nim, panie prokuratorze, kryją się ludzie przecięt?

— Pani sądzi, że proste to było, odkryć winnych? Zbyt dużo u nas niedomówień w sprawach, związanych z zakresem obowiązków, ich podziałem...

skazano, a egzekucja finansowa? Okazała się pustym pojęciem, bo hochsztapler miał żonę i czworo dzieci...

— Pan już powiedział, zdaje mi się: państwo bogate, państwo zapłaci! Ale jak wygląda problem takich egzekucji? Czy to przypadkiem nie są fikcje od początku do końca czyli od wydania wyroku do wykonania?

— Pewnie, że fikcje, proszę pani, bowiem albo mamy do czynienia z czworgiem dzieci i minimalną pensją czyli z problematycznymi dobrami do zajęcia; albo też — z cynicznym uprzednim przygotowaniem gruntu pod zajęcie, jeżeli przyszły oskarżony przewiduje oskarżenie i jest z gatunku wielkich spryciarzy. W sumie — sprawa sprowadza się do jednego: państwo zapłaci.

— Gdybyśmy rzecz podsumowali — to przeważają przestępstwa gospodarcze, niedopełnienie obowiązków, brak rozpoznania w zakresie tychże obowiązków, niedopatrzienia, niewłaściwa organizacja pracy — a więc wiele grzechów głównych, podstawowych, przerażających, gdy słucha się o nich na przykładach.

— I mamy jeszcze: brak ewidencji składników majątkowych, uchybienia w systemie dokumentów, uchybienia w nadzorze służbowym i kontroli wewnętrznej, której — albo w ogóle nie ma — śmiałybym rzec, albo jest tak powierzchowna, że nikt się z nią nie liczy?

— I mamy jeszcze wadliwą politykę personalną, ogromny problem, któremu na imię: właściwe kwalifikacje, dość przypomnieć tego „budowniczego” mostu, częste sadzanie na stanowisku instruktora bhp ludzi nie mających najmniejszego pojęcia o metodach zapobiegania niebezpieczeństwu, o ich roli dydaktyka na terenie zakładu.

— Wszystko to prawda i wszystko to życie ilustruje w sposób bezwzględny i smutny. Bo weźmy choć nowe dwa akta sprawy: pierwsze i drugie kończy śmierć ludzka. Pierwsze — bałagan, bezkroćwie; drugie — brak informacji, brak działania informującego, wyjaśniającego.

Pierwsze: człowiek wpadł do luku kilkumetrowego, który zapomniano zamknąć, a ów człowiek jeździł ciężkim wózkiem na trasie tego luku i nie mógł być przewidzieć, że w ogólnym bałaganie zostanie on otwarty. Drugie: zatrudniono w kamieniołomie człowieka, nie instruując go, jak ma kopać, przeto wykopał ogromną rozpadlinę pod własny grób, bo przytłoczył go podkopany nawis skalny. Są winni oczywiście; ale czy istnieje kara za życie ludzkie, tym bardziej że śmierć spowodowano nieumyślnie.

— A sprawa dyscypliny pracy?

— Bywa, że kierownik przychodzi o godz. 9, pracownicy o godz. 6! Niestety, często bywa...

— A kradzieże zorganizowane, szajki, gdzie ludzie chcą się szybko dorobić i w imię szybko nabytego samochodu czy willi idą na łamanie zasad pracy?

— Mam w tej chwili taką jedną, gdzie kilkadziesiąt osób siedzi i będą im udowodnione milionowe straty. Bezczelność tych ludzi i żelazna organizacja tej szajki sprawdziły się i w tym, że myśmy już prowadzili śledztwo od dwóch miesięcy, a oni zorganizowanie kradli dalej w ciągu tych dwóch miesięcy...

— Liczenie na bezkarność?

— Raczej żelazne prawa dobrze zorganizowanego złodziejskiego rynku.

— Wykracza to nawet poza moje rozumienie złej pracy i z tym pojęciem nie ma wiele wspólnego. Jestem, przyznam się, szczerze pognębiona tym ponurym obrazem wad obywatelskich i pewnie ucieknę od owego bałaganu oraz przestępstw w rejonny nam bliższe, bardziej codzienne, w sferę „złotych rączek”, drobnych uchybień, płynących z małej świadomości człowieka, jeszcze raz ruszę sferę tumiwizmu i „czy się stoi, czy się leży — pieniądz się należy”.

— Na ogół to bywa poza gestią prokuratora — ale za to w gestii kierownictwa zakładów. A one zbyt często zapominają, że „zwolnić” — to nie cała broń, którą dysponują. To istnieją kary, potrącenia, możliwość cofnięcia premii, publiczne piętnowanie lenia.

Na poloninach bieszczadzkiej pędzą wozy-widma z królami szos, bez hamulców i bez sprawności technicznej — baza ich wypuściła

— w domyśle — śmierć na nich czyha. Na placach budowy — chodźmy wokół nich, powszechnie zatem znany obrazki skłębionych cegieł z konstrukcjami żelaznymi, wymieszane cementu z piachem i ogólnego bałaganu — dlaczego — pytam — nikt w Polsce nie zadał sobie trudu obliczenia, ile czego potrzeba na jeden blok; nie wydano czego potrzeba z groźnym zastrzeżeniem, że z tego ma powstać ów blok i na nie więcej wykonawca liczyć nie może?

— Przerwać sobie pozwolę, bo znowu wkroczyliśmy na teren zakresu odpowiedzialności za państwową złotówkę i w sferę zakresu obowiązków. A także zapytać sobie pozwolę — może już nieco osobiście — czy nie straszno Panu, mając to zło nagromadzone en masse w tym gabinecie?

— Odpowiem pani, może zaskakująco — jestem mimo nie optymistą. Bo również z doświadczenia wiem, że z każdym rokiem jest go mniej, że z każdym miesiącem będzie lepiej. A niestety nie możemy mówić o jasnych stronach życia, bo te na ogół nie trafiają do mego gabinetu...

— Widzi Pan, czasem zapominać, że rozmawiam z prokuratorem! I że jest to pierwsza rozmowa w moim cyklu, gdzie przykład zły musi służyć jako ostrzeżenie. Dotychczas — raczej do bry miał służyć za wzorzec...

— I my pracujemy nad pewnymi wzorcami — proszę pani. Bo nasza działalność, szeroko pojęta, powinna służyć za studium profilaktyczne. Skorzystam więc z okazji i powiem o tej części naszej pracy, która jest nastawiona na działalność naukową, socjologiczną. Jesteśmy w tej sytuacji, że marnotrawstwem doświadczenia byłoby nie skorzystać ze złych przykładów, nie ponieść tego doświadczenia w naród. Mamy całą grupę specjalistów z pewnych wąskich dziedzin gospodarki, którzy nawet ogłaszają publicznie swoje prace już sensu strictly naukowego; prowadzimy szereg badań nad zawiłościami struktur społeczno-gospodarczych, nad przyczynami środowiskowymi przestępstw. Kontaktujemy się ze środowiskami, w których wydarzył się skandal gospodarczy i... obserwujemy stałą poprawę tak w świadomości ludzkiej jak i w zmniejszeniu tego jeszcze częstego tumiwizmu. Po skończonych sprawach, nawet tych umorzonych, z braku dostatecznych dowodów winy, wysyłamy do zakładów pracy wystąpienia podsuwające pewne propozycje konstruktywne; za III kwartały roku 1968 wystaliśmy ich około 400.

— A więc rysuje się tu zupełnie wyraźnie nowa funkcja prokuratora, funkcja pedagogiczna?

— Właśnie o nią nam idzie w tym samym stopniu, co o zastrzeżenie kontroli, zwiększenie wymagań, pod wpływem których znikają ujemne zjawiska.

A pojęcie samej moralności pracy? Proszę pani, widzę tu ogromną rolę dla kierownictw zakładów, organizacji politycznych i społecznych. Jakimś bowiem przykładem może służyć majster, który u progu pracy świeżo ubezpieczonego absolwenta szkoły zawodowej kładzie wkupującą się ćwiartkę? Przykłady, wzorce, szacunek dla zawodu zawsze idą z góry i tam zaczynają swój żywot. Raz źle zaczęte, przynoszą robaczywe owoce.

— I pewnie warto nam na tym poprzestać, bo akta rosną, problemy się mnożą i jest ich taka wielość, że zamieniam się raczej w pilnego słuchacza niż rozmówcę.

Niczego przeto nie podsumowując w rozmowie pełnej tych problemów, powiem, że największe zło widzę w lekceważeniu swoich obowiązków, w nadmiernej fanfaronadzie. W socjalistycznych somosierrach. A największą konieczność w ratowaniu człowieka przed nimi. Zaś one — to owe wiadra z benzyną, co — to — nigdy — nie — powinny — wybuchnąć, owe spawania w bawełnianym pyłe, owi bieszczadzcy kowboje na poloninach, wiozący tony drzewa bez sprawdzonych hamulców, owi balansujący na dachach szaleńcy od kominów; wszyscy, którym uderzyło do głowy jedno — dwurazowe powodzenie, a którzy musi strzelić w łeb nie-szczęście idące w parze z nad-szarpięciem kiesy narodowej.

Państwo bogate — państwo zapłaci. A żyje się raz — można więc być jak.

Rany boskie — czy trzeba?



Justyna Woś

# „Pustelnik” w środku wsi

Do niedawna Kamienica Górna była wsią nieznaną. Leży na ubożcu, z dala od „cywilizacji”; bez elektrycznego światła, gazety docierają tu co najwyżej z jednodniowym opóźnieniem. Przyjazd raz w roku kina ruchomego obwieszcza wielkie święto. Do leżącego na szlaku komunikacyjnym małego miasteczka — Brzostka wędzie z Kamienicy kręta i miejscami stroma 8-kilometrowa droga. Pokonuje się ją najczęściej pieszo.

Kiedyś we wsi powiedziano, że będzie można uruchomić linię PKS, gdy zbuduje się drogę o twardej nawierzchni. Debatowano długo, nim zdołano zdobyć zaufanie wsi i z łopatami wyszli; starzy i młodzi. Z trudem ukończono gościelec. Niedługo trzeba będzie przeprowadzać już konserwację: jesienne deszcze i błoto wyzerają gładką powierzchnię, a wyczekiwanych przystanków autobusowych jakoś do dziś nie widać.

Spółeczny czyn nie spowodował „pekaśów”, ale za to dobry dojazd do Kamienicy ściąga osobowe samochody z rejestracją krakowską, lubelską, warszawską i oczywiście rzeszowską. Wjeżdżają w środek wsi pod samo wzniesienie, na którym stoi niezmiernie wyróżniający się spośród innych — domek. I tam przyjezdni dopytują się o niecodziennego, coraz bardziej słynnego samotnika.

— Jestem samotny jak pustelnik — mówi od razu na wstępie, ale jakoś dziwnie wyczuwa się, że to zdanie straciło już swoje pierwotne znaczenie, jest tylko rytualnym wypowiedzeniem przy tego typu okazjach.

Władysław Chajec jest już przygotowany do takiej rozmowy. Opowiada więc, że musi rzeźbić bo jest nerwowo, że wiele przeżył; dwukrotnie żonaty, opuszczony po wojnie przez drugą żonę postanowił żyć odizolowany od świata, uciekł w przeszłość o krainie legendy, biblij i historii — stamtąd czerpał motywy dla swoich drewnianych, małych ale monumentalnych figurek. Nie ma już ich u Chajca. Rozproszone u prywatnych nabywców, niesygnalizowane nie mogą świadczyć o dorobku artysty.

— Gdyby mnie zapytano, ile tego wyrzeźbiłem i zostawiono na odpowiedź tydzień, miesiąc, rok — nie potrafiłbym doliczyć się tego. Majsterkować zacząłem od dzieciaka...

Tak. Początkowo było to tylko majsterkowanie: zabawki dziecięce, przedmioty użytkowe. W domu Chajca łyżka, cedzak, wiaderko, fantazyjne krzesło i warsztat pracy — wyszły spod jego rąk. Starego „Pionierka” podłączył na baterie i w tych warunkach jest on doskonałym odbiornikiem radiowym. Ogień do papierosa podaje gospodarz w małej kieliszku zapalniczce. — To łuska z pocisku z data 1918 roku — wyjaśnia. Widziałam na fotografiach rzeźby z okresu kiedy Chajec ogłosił się pustelnikiem. Ludowy mistrz przyznaje: dużo podpatrywał, opowiada o swoim pobycie w Bieczu, mówi coś o odtarzu Wita Stwosza. To było więc swoiste naśladowanie i stylizacja. Chajec szukał sobie wzorów tematycznych, adekwatnych dla swojego cierpiącego losu i swojej ucieczki do mistycyzmu. Może wtedy w swoim najwymownym przekonaniu czuł się pustelnikiem: rzeźbił z potrzeby obcowania ze sztuką i może byłoby tak do dzisiejszego dnia. Przypadek zrzucił, że ktoś z Lublina znający się na sztuce ludowej wytropił Chajcowego świątko — bo od tego czasu pustelnikowi z Kamienicy coraz częściej odwiedziny zakłóciły spokój samotnika.

Kamienica to dziwna wieś. Nie gospodarzy najlepiej. Prawda, że uprawa roli na wzgórzach nie jest sprawą prostą. Ponadto trudno przełamać opór, a może przekorę i nieufność do czegoś nieznanego, co mogłoby przynieść poprawę.

— Nie chcą u nas kupować nawozów sztucznych — informuje sołtys Alojzy Guzik. Jesteśmy jedyną z ostatnich wiosek w Jasielskim, która nie stosuje racjonalnych metod gospodarowania. A przecież wydawałoby się, że bardziej niż gdzie indziej ludzie u nas są myślący, rozumni i chętni...

Kamieniec łatwo zapalił do czynów społecznych, do urzeczywistnienia dobrych inicjatyw, ale do-

radzić w gospodarce trudno. Tak też uważa samotnik Chajec: — Wieś myśli, że jestem cudak żaden gospodarz. A do gospodarki też trzeba mieć zmysł. To co chce się zrobić musi przejść najpierw przez rozum, a nie tylko bezmyślnie kląć się o miedzę. Okropnie mnie to złości. Nie obchodzi mnie takie gospodarowanie...

Rodzina Chajców nie miała bogatych tradycji rolniczych. Nie wiodło się też ojcu Władysławowi. Zamiast płonów — dług. Zabrał więc żonę za Ocean, do Ameryki. Tam w 1904 roku przyszła na świat nerwowe niemowlę, obwieszczając krzykiem swoje urodziny. Niedługo potem mały Władec już w Kamienicy z uwagą i czunością dziecka słuchał długich opowieści ojca — niefortunnego gospodarza, który wyjechał do Ameryki i dorobił się na tyle, aby uwolnić morgi od wierzyceł. Z zapartym tehem pochłaniał także emocjonujące relacje dziadka o powstaniu chłopów w Galicji 1846 roku. Te wspomnienia z dzieciństwa, z zimowych wieczorów spędzonych na piecu — wróciły do Władysława Chajca w kilkanaście lat później, przetworzone w ludowe legendy mieszające autentyzm z fantazją, rzeczywistość z własnym wyobrażeniem.

„Mój dziadek w czasie rabacji miał 9 lat, żył 94 lata. Opowiadał mi kilkakrotnie o biciu panów — pisał z błędami ortograficznymi w swoim brulionie. Zapiski niedawno wpadły w ręce docenta Fr. Kotuli. Zachęcił Chajca do przepisania i w 1964 roku legenda o Jakubie Szeli została opublikowana w tygodniku „Kamena”.

Rzeźba Chajca jest samorodną sztuką. Wszystko co udało się artysty w życiu podglądać, przeczytać przenosił w drewno, wydobywał kształty. Zachłysnął się kiedyś „Faraonem” B. Prusa. Koniecznie chciał szperać w starożytnej przeszłości Egiptu, zafascynowała go historia i archeologia. Przeszłował w jakiejś książce opis człowieka pierwotnego — aby wydłubać w drzewie nieproporcjonalną figurę przodka. Przejycia z ostatniej wojny dały surowe ostryżne gestach bryły — niszczycieli ludzkości. Hitler w twórczości Chajca objawił się jako postać stąpająca po trupach, na ramieniu z bombą. Po zwiedzeniu Oświęcimia, wstrząśnięty wykuwa w drzewie krematorium. Rzeźbił dużo, ale dorywczo, pod wpływem jakiegoś większego impulsu, albo w wolnych chwilach. Teraz odwrotnie. „Odkryty” pustelnik rzeźbi cały czas, w wolnych chwilach zajmuje się gospodarstwem.

Obyczaje Chajca są znane w całej wsi. Nigdy nie szukał towarzysztwa. Z ludźmi spotykał się na

krótko w sklepie, obsługiwany zresztą w pierwszej kolejności. Czasem wpadał do Klubu Rolnika, aby sprawdzić skromny księgozbiór bibliotecznego punktu. Nie żył problemami wsi, miał własny świat zamknięty w jednej izbie wśród rzeźb, na 3 morgach ziemi, z której mógł wyżyć siebie, kilka kur i krowę.

Szybko poznały się na nim gospodynie z Kamienicy, przynoszące do chałupy samotnika dziurawe garnki do naprawy. Lubią przyglądać mu się dzieci, zwłaszcza wtedy gdy przyjedzie jakiś samochód. Chajec sprzedaje swoje figurki i długopisy, co wsiuślanym przybywaczom z miasta. W swojej izbie czuje się pewnie, jest rozmowny, z każdą chwilą przeobrażając się w przemilętego gadułę. Zapomina o swoim samotnym życiu, swoją gawędziarską narracją wprowadza słuchaczy w świat, w którym zaciera się granica między realną prawdą a mitem.

Tego dnia jego dom był zamknięty. Kamienica jakby uśpiona. Chały rozrzucone na pagórkach, o zmierzchu długie będą ciemne, każdy bowiem przedtę moment zapalenia naftowej lampy. Ale życie pulsuje w Klubie Rolnika. Kilku młodych ludzi jest zajętych malowaniem lamperii — oczywiście praca społeczna przed „andrzejkami”.

Młoda, dziewiętnastoletnia Stasia Szczur, kierowniczka klubu i zarazem przewodnicząca Koła ZMW cieszy się, że wreszcie ktoś z miasta zaglądnął nie tylko do Chajca. Znalazła się okazja, aby wysypać swoje żale i kłopoty przy stoliku w klubie, zaniem zażętuje się woda na kawę.

Ta jedenastoosobowa grupka z ZMW jest zapalona.

— Nie odbiera nam entuzjazmu ani to, że nie mamy światła, telewizora i kina — chociaż bardzo pragniemy takiej rozrywki...

Ci, którym się lepiej udało w życiu, wyjechali na Śląsk. Do Kamienicy nie wracają, bo po co? Tylko Janek Przebłęda był pod Wrocławiem u brata, ale znalazł się tu z powrotem, bo ktoś musi zająć się gospodarstwem. Jest rozsądny, rzutki, aktywny. Młodzi chcą wsi dać rozrywkę, sami chcą się raz w tygodniu pobawić przy adapterze na bateriach, ale opiekunowie: kierownik szkoły, sołtys, sędziwy i szanowany gospodarz ze Społecznej Rady Klubu niechętnie patrzy na big-beat, sprawując w tym zakresie rygorystyczną kuratelę.

Chajec rozślawił nieznaną wieś. Obok chatki samorodnego rzeźbiarza, upływa życie wielu ludzi, którzy chcieliby odkryć artysty, było i odkryciem Kamienicy.

# Husaria polskich szos

Ten motyw satyry na bohaterów i ofiary naszej motoryzacji przewija się bardzo konsekwentnie przez cały program „Motorycerze”, z którym zespół rzeszowski „Estrady” odwiedza wioski i miasteczka. Bardzo trudno oceniać spektakl, który zbudowano według z góry ustalonych założeń utylitarysty i doraźnego dydaktyzmu. Wiadomo bowiem, że „Motorycerze” zamawiał w „Estradzie” Wydział Komunikacji Prez. WRN, WK MO i Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy dla popularyzacji pewnych przestróg, wskazań i zakazów. Mimo tych rusztowań doraźnie wychowawczych, ograniczających możliwości reżysera powstał spektakl pożyteczny, interesujący, o dużej dynamice. Składają się na niego teksty wartościowe pod względem literackim wykonywane przez zespół ze zmiennym powodzeniem. By sytuacja w jakiej się artyści znaleźli była jasna, trzeba jeszcze dodać, iż widowisko „Motorycerze” jest przeznaczone przede wszystkim dla widza wiejskiego i małomiasteczkowego. Tam bowiem głównie trzeba docierać z dydaktycznymi treściami związanymi z ruchem drogowym. Zaszła więc konieczność pewnego ukierunkowania spektaklu, bardziej wyrazistej, ocierającej się o groteskę, a nawet szarżę ekspresji, bardzo mocnego podawania punktów czy wreszcie mocniej akcentowanych elementów dydaktycznych.

Dlatego „Motorycerze” nie poprzestają na kpinie, ironii czy satyrycznym przymrużeniu oka, — czasem gromią, bezpośrednio pouczają, nawet mają ton moralizatorski. Ten ton programu mniej może się podobać, a nawet może budzić sprzeciw u widza bardziej wyrobionego w odbiorze współczesnej sztuki estradowej w większych środowiskach. Może w tym także trochę winy konferansjerki Teresy Górskiej, która nie

potrafiła zdobyć się na żartobliwość i lekkość tonu i nie nawiązała kontaktu z widownią na płaszczyźnie zabawy. Chwilami wyglądała jak nauczycielka, lub milicjantka kierująca ruchem. Najwyraźniej ujawniło się to w czasie konkursu ze znajomości zasad ruchu drogowego i przepisów antyalkoholowych.

Dużo zastrzeżeń budziła również interpretacja wiersza Mariana Żaluckiego w wykonaniu Krystyny Dziubińskiej. Nie można chyba mówić tego wiersza, wykrzykiwać i nie można kreować jego bohaterki i narratorki na odrażającą jedzę-pijaczkę, gdyż traci on wtedy swoją finezję i humor. Tu znowu względy moralizatorskie zadecydowały.

„Motorycerze” ośmieszają ułańską brawurę motocyklistów, żądę posiadania jakichkolwiek czterech kółek z motorem, pijaństwo na szosach i poza szosami, prezentuje rozliczne perypetie samochodziarzy i najczęściej występujące ich typy. Ale spektakl ma mimo zasadniczej niel przewodniczej charakter składanki — znajdujemy tam również przeboje z Opoli czy Sopotu, krótki, wyodrębniony spektakl kabaretowy z piosenkami i monologami charakterystycznymi, trochę parodi i trochę czarnego humoru. Może nie ma jakiejś żelaznej konsekwencji w robocie reżyserskiej Ryszarda Wojciechowskiego ale jest dużo dobrych, oryginalnych pomysłów, sporo inwencji i tendencja do poszukiwań.

Danuta Borowiecka, jak zawsze na estradzie ma dużo wdzięku i coraz lepiej śpiewa. Prezentuje dobre aktorstwo estradowe, świetnie nosi kostiumy sceniczne, ma własny styl interpretacyjny i własne pomysły w partiach wokalnych. Również Jerzy Wieczorek, mniej przekonujący w skecach jest dobrym solistą piosenkarzem. Ma bardzo dobry, o miłym brzmieniu głos, śpiewa czysto, z wyrazistą, dobrą interpretacją zwłaszcza piosenki liryczne i sentymentalne.

Ryszard Wojciechowski jako aktor zdradza skłonności do groteski, makabreski (zwłaszcza w niej czuje się świetnie) i parodii. Jego aktorstwo wywodzi się z dobrej starej szkoły Sempolińskiego — ma dużo ekspresji i siły komicznej.

Nieźle się zapowiada nowy nabytek rzeszowskiego zespołu Lilliana Para. Zespół muzyczny pod kierownictwem Jana Babuli zdobył już rutynę i szlif estradowy — gra bardzo interesująco, ciekawie, szkoda tylko, że nie potrafi nieco powściągnąć swojego temperamentu i gra trochę za głośno zagłuszając solistów i wykonawców. Na dobro zespołu należy zaliczyć fakt, że członkowie zespołu muzycznego współtworzą program nie tylko jako muzycy lecz również jako aktorzy, biorą udział w blekautach i scenkach charakterystycznych.

PPiE w Rzeszowie: „Motorycerze”. Scenariusz — Wilhelm Waldemar, reżyseria — Ryszard Wojciechowski, oprac. muzyczne — Jan Babula, opr. plastyczne — Jan Gliwa, plastyka ruchu — Leokadia Magdziarz. Wykonawcy: Danuta Borowiecka, Krystyna Dziubińska, Teresa Górską, Lilliana Para, Andrzej Chomiński, Jerzy Wieczorek, Ryszard Wojciechowski i zespół muzyczny w składzie — Jan Babula, Tomasz Bak, Stanisław Jonak, Jan Sołak, Jan Wywrocki.

JAN GRYGIEL





Stanisław Frycie

# Powieść historyczna

Polityczna i moralna ocena Polski przedwzrostowej, krytyczne spojrzenie na międzywojenne kontrasty, na głupotę polityczną i zło społeczne, na polityczne podziały, społeczne bariery, przesydy obyczajowe i ludzkie tragedie, rozrachunek z czasami narodowych mitów — to jeden z ważnych tematów, który przewija się systematycznie w naszej współczesnej literaturze.

Nie o wylczenie utworów, sprawiedliwie oceniających nasze najnowsze dzieje, tutaj idzie, ale o zasygnalizowanie jakże żywej w świadomości twórców problematyki, do której sięgnął w swej ostatniej powieści „Spadek” Jan Maria Gliges, poeta, dramaturg i prozaik z Niska rodem, aktywny organizator życia kulturalnego i literackiego, autor licznych tomów poetyckich, czterech sztuk teatralnych i trzech powieści o tematyce psychologiczno-obyczajowej.

Jego „Spadek”, w którym kontynuuje problematykę, jaką podjął w dwu poprzednich powieściach, a mianowicie w „Brudnych śniegach” i „Ostach”, należy do tego kręgu tematycznego współczesnej prozy, dla której moralny osąd czasów między wojnami pozostał nadal tematem społecznie doniosłym i niezwykle ważnym dla kształtowania społeczno-politycznej świadomości narodu.

Skąpa akcja powieści osadzona w politycznych, społecznych i obyczajowych realiach życia dawnej Kielecczyny, typowych dla międzywojennej Polski, stanowi tło dla psychologicznie pogłębiłonego o asocjacyjny tok narracji, wizerunku bohatera i zarazem narratora, którym jest Xawery Krzywicki, kleryk seminarium kieleckiego o ziemianstwie i szlachectwie, późniejszy urzędnik państwowy i wreszcie, po odziedziczeniu spadku, właściciel ziemski. Bohater Gligesa — to postać zbuntowana przeciw własnemu środowisku, wyalienowana ze sfery urzędniczo-ziemiańskich, uwikłana w ostre konflikty moralne i ustawicznie zmuszana do dokonywania ostatecznych wyborów w imię określonych wartości etycznych.

Po raz pierwszy Xawery buntuje się przeciw moralnym i obyczajowym „brudom” w seminarium. Duszna i zakłamaną atmosferą w środowisku wielebnych ojców sprawi, że młody, o reformatorskich „ciągotach” kleryk rozstanie się z szatami duchownymi i rozpocznie, tak jak ongiś, po utracie majątku, jego ojciec — karierę urzędniczą. Zatrudniony ze względu na swych szlacheckich antenatów i wpływowego stryjka-ziemiańską w administracji państwowej wojewódzkiego szczebla odrzuca propozycję współpracy z defą i popada po raz drugi w konflikt z najbliższym środowiskiem. Tym razem jest to konflikt z aparatem ówczesnej władzy ze względu na zbliżenie do środowiska postępowej młodzieży wiejskiej „Wici”. Nawiazany przypadkowo kontakt z radykalnym ruchem ludowym za pośrednictwem szkolnego kolegi z środowiska wiejskiego, także eklieryka, zaostrzy jego spojrzenie na międzywojenną rzeczywistość, na sanacyjne rządy i na jałową egzystencję warstw ziemiańsko-urzędniczych. Mimo iż organicznie należy do tego świata, czuje się w nim obco. Drażni go salonowa pompa, denerwują puste i zakłamanie rozmowy o pałacach, dworach, podróżach do Włoch, Francji, Afryki.

„Z nich jestem — wyznaje — a są mi obcy, dalecy, chciałbym się oderwać i czuję, że jestem porażony niemocą, czuję się osam-

czony przez zaszczyty, przez tych ludzi, dla których przecież o tyle przedstawiam wartość, o ile mogę przyspieszyć wpisanie do hipoteki x y ziemi, o ile jestem pomocny w kontaktach...” (s. 214, 215).

Jest w tym wyznaniu coś z postawy Zbyszka Dulskiego. Xawery dostrzega jednak wyraźnie moralne wartości ludu i darzy jawną sympatią środowisko chłopskie, a zwłaszcza ludowy ruch spod znaku „Wici”. Tę ideową orientację uzewnętrzniają buntownicze strofy Słowackiego:

„O Polsko! póki ty duszę anielską  
Będiesz wzięła, w czerepie  
rubasznym...” (s. 115),

które pojawiają się w wewnętrznym monologu bohatera jako symbol protestu przeciw światu, w którym przyszło mu żyć. Zawarł w nich Xawery swoją niechęć do ziemiaństwa i burżuazji, do politycznych racji własnego środowiska, które programowo manifestowało swą niechęć do komunizmu, a w zbliżeniu z Zachodem, z Niemcami i Włochami upatrywało polskiej racji stanu. Jakże znamienne dla tej orientacji politycznej są słowa, które wypowie w towarzyskiej rozmowie nacelnik Ciekota:

„...konieczne jest zbliżenie z Zachodem, Niemcy, Włochy... komunistów musimy wylimnować z życia politycznego...” (s. 215).

Oburzała Xawerę tępotą ludzi, którym powierzono los kraju, oburzało zaślepienie tych, którzy zionęli nienawiścią do wszystkiego, co szlachetne i postępowe. W imię tej nienawiści ciemny klecha pali na stosie wydawnictwa „Wici”, pali dzieła Żeromskiego, Żoli, Balzaca i Boga i grozi ekskomuniką śmiałkom, co odważyli się obcować z owymi „ziarnami szatana”. Do Xawerę dotknęła Xawerę ten obraz-symbol, a pamięć przywoła „smugi ognia na placu Opery Berlińskiej otoczone znakami swastyki. (s. 243). Tam także unieście wiono w płomieniach postępowe idee i szlachetne myśli ludzkie. Faszyzm bez względu na kraj był wszędzie jednaki.

Podobieństwo to uświadomił sobie Xawery w końcowej fazie swej drogi ideowej, drogi ziemianstwu i szlachectwu, który mimo szlachetnego buntu przeciw własnej klasie i mimo egzystencjalnej niepokoję i trafne wybory moralne — w niej przecież pozostał, po niej odziedziczył symboliczny spadek z metafizycznym nakazem stryja, by strzegł tajemnicy rodu — wawelskiego skarbu — królewskiej korony i szczerbca Chrobrego do czasu, „kiedy powstanie prawdziwa Polska, gdzie będzie równość i wolność”. (s. 227).

Demokratyczne przekonania Xawerę i jego stryja mają swój historyczny rodowód. W genealogii rodzinnej, którą poznaje czytelnik z obfitych asocjacji bohatera-narratora, figurują przecież protoplaści, którzy z Kościuszką walczyli i w bojach powstańczych pięknie się zapisałi. Jeden z nich, Paweł Krzywicki, po upadku powstania listopadowego „z chłopami i rzemieślnikami popłynął (nawet) na emigrację” (s. 11).

Ukazuje więc Gliges swego bohatera na tle historycznych realiów i rodowej genealogii, dzięki temu jego powieść jest w jakimś sensie mikroskopijną sagą historyczną o inteligencji pochodzenia ziemianstwu i o narodzinach w łonie szlacheckich demokratów idei, które przetrwały lata i odżyły w nowej postaci w międzywojennym 20-leciu w świadomości tej grupy społecznej, która z szlachty wyszła, lecz z ludem się bratała. Dowodzą tego losy Xawerę i Krzywickiego, ziemianstwu i inteligenta, który wybierze drogę buntu przeciw społeczno-politycznym racjom własnej klasy i zbliży się do wsi, a bowiem w niej — w postępowym ruchu ludowym dostrzeże ozdrowienie dla kraju idee.

Jest także powieść Gligesa, dzięki realiom — znamienym dla dwudziestolecia międzywojennego, utworem społeczno-obyczajowym, utworem rozrachunkowym, w którym proponuje autor własne, zaangażowane i ideowo uczciwe spojrzenie na Polskę przedwzrostową. W syntetycznych obrazach maluje Gliges w „Spadku” egzystencję ziemianstwu i sfer urzędniczych, ukazuje zgubną dla kraju orientację polityczną warstw rządzących i organiczną nienawiść szlachty do ruchu ludowego i komunistów, tworzy wizję naszego, rodzimego faszyzmu. Jego oblicze ujawniają salonowe dysputy, nagonka na ruch „Wiciowy” i jakże wymowna scena finalna powieści — scena palenia książek „zakazanych” przez proboszcza z Krzywicy.

Ze względu na kształt formalno-kompozycyjny jest wreszcie „Spadek” nowoczesną powieścią psychologiczną. Świadczy o tym asocjacyjny tok narracji, wzajemne przenikanie się w płaszczyźnie czasowej i przestrzennej wątków, skondensowana fabuła, operowanie skrótami myślowymi, oszczędny i pozornie beznamienny monolog narratora-bohatera, przerywany od czasu do czasu partiami dialogowymi i metafizyczno-aluzyjny charakter niektórych obrazów, o czym zdawkowo wspominałem wyżej.

Wymienione tu przykłady wskazują, że „Spadek” Gligesa należy do wartościowego nurtu naszej współczesnej prozy.

Jan Maria Gliges „Spadek”, PIW, W-wa 1968, str. 243.

## POLEMIKI ● DYSKUSJE W sprawie artykułu „RAZ NA LUDOWO”

DO REDAKCJI „WIDNOKRĄGU”  
Wolno — nieraz nawet trzeba — bliźniego obwinąć, posądzić, oskarżyć. Z jednym tylko warunkiem. Ze się winę, czy przekroczenie udowodni.

Red. Jan Grygiel w artykule „Raz na ludowo...” „Widnokrag” nr 47 z 24 XI br. — napisał odnośnie mego referatu wygłoszonego w Mielcu 18 ub. m.:

„Doc. Franciszek Kotuła w swoim nieco ryzykownym w tezach referacie „Regiony etnograficzne w Rzeszowskim...” Jest w tym powiedzeniu zarzut i Redaktorowi wolno go postawić. Ale równocześnie trzeba to udowodnić. Tedy zwracam się do Szanownego Redaktora za pośrednictwem Redakcji z prośbą o dowody. I koniecznie na łamach „Widnokragu” oraz daniem mi szans na odpowiedź.

Pozostaję z należnym szacunkiem

FRANCISZEK KOTUŁA  
A oto tezy i sformułowania z referatu docenta Franciszka Kotuły, które uważam za ryzykowne, a czasem nawet szokujące (cyt. z powielonego skryptu referatu, który otrzymał wszyscy uczestnicy sesji popularnonaukowej w Mielcu w czasie I Rzeszowskiego Jarmarku Pieśni i Tańca).

„Pisząc na ten temat — osnuty jakby mgiełką sentymentalizmu — a nawet roniąc łzy za romantyczną przeszłością musimy używać czasu przeszłego. Bawiamy barwne, regionalne stroje, namaszczone obrzędy, wesela odprawiane według odwiecznej konwencji, przejmujące śpiewane pieśni i wiele wiele innych aspektów tradycyjnej kultury fak-

tycznie należą już do przeszłości. To jest żywe nie mówiące już o znumifikowanych i przechowywanych w muzeach i tradycjach” (str. 1).

A więc jak to jest właściwie. — Czy należą już do przeszłości, czy są żywe?

I dalej... „Równocześnie, cokolwiek będziemy mówili o kulturze w ogóle, to wszystko odnosi się również do kultury ludowej...” (str. 2). Czy jest więc sens wyodrębnić pojęcie kultury ludowej skoro wszystkie cechy kultury ogólnej można jej przypisać?

Znów cytuję. „...W chwili obecnej unifikacja kulturowa — może raczej cywilizacyjna — na terenie całego kraju postępuje tak szybko, że o regionach etnograficznych śmiało już można mówić jako o aspektach prawie że całkowicie historycznych...” (str. 2). Czyżby już zatarły się zupełnie odrebności języka, zwyczajów, strojów, tańców, sposobu budowy domów między np. Podhalem a okolicami Łowicza, między Kaszubami i Kurpiami?

Albo: „Nie dziw tedy, że właśnie na Podgórzu — termin Podgórze należy też traktować jako termin historyczny — wytworzyła się i to wcale nie wysoka kultura, wyższa aniżeli w innych stronach...” (str. 6).

W których stronach — w okolicy Przemysła czy Jarosławia, czy może w Górach Świętokrzyskich... Czy to jest ścisłe, naukowe określenie?

„...Imigranci przybywając w obecne strony przywieźli jednak z sobą cały tamtejszy serwis kulturalny; a jak się okazało nie

## Turniej czytelniczy Z M S

Zarząd Główny Związku Młodzieży Socjalistycznej przy współpracy redakcji czasopism młodzieżowych „Popołudnia z młodością”, redakcji Publicystyki Młodzieżowej TV oraz gazet terenowych organizują tym razem w skali masowej VII Ogólnopolski Turniej Czytelniczy ZMS. Ta główna forma upowszechnienia czytelnictwa wśród młodzieży objęła dotąd w ciągu 6 lat istnienia blisko 900 tysięcy uczestników. Ponieważ dotąd zasady regulaminowe ograniczały formy pracy z książką oraz ilość książek w proponowanych zestawach turniejowych opracowano nową, znacznie szerszą koncep-

cję tej pożytecznej imprezy. W nadchodzącym turnieju zaproponowano do wyboru zestaw składający się z 68 książek o dużych walorach ideowo-wychowawczych. Pozycje tego zestawu będą popularyzowane dwiema metodami — w formie konkursów prowadzonych przez prasę, radio i telewizję oraz poprzez wszechstronną działalność prowadzoną przez instancje, placówki i kółka ZMS.

Każda redakcja wybierze z listy 7—12 książek zgodnie z zainteresowaniami czytelników i profilem pisma i będzie je popularyzować przez recenzje czy omówienie w terminie do 30 V 1969 roku. W tym okresie redakcje ogłoszą konkurs na najlepszą wypowiedź na temat popularyzowanej książki (poruszanych w niej problemów, postawy bohaterów, formy itp.). Najciekawsze wypowiedzi uczestników turnieju i zarazem konkursu mogą być w całości lub fragmentach publikowane na łamach pism i nagradzane.

Drugi tor turnieju czytelniczego będzie przebiegał w kołach, wszechnicach społeczno-politycznych, wieczorowych szkołach aktywu i w klubach ZMS. Prowadzona przez nie praca z książką będzie oceniana przez odpowiednie komisje turniejowe. Turniej będzie rozstrzygnięty w dniach 1—30 czerwca 1969 roku.

O bardzo różnorodnych formach uczestnictwa w turnieju, które będą punktowane informuje szczegółowo regulamin VII Ogólnopolskiego Turnieju Czytelniczego ZMS. Wymienia m. in. takie, jak dyskusje nad książkami, kolportaż książek, spotkania autorskie, spotkania z dziennikarzami i działaczami kultury, wystawy, wieczornice itp.

Została już powołana Wojewódzka Komisja Turnieju, w skład której weszli przedstawiciele Zarz. Woj. ZMS, Zarz. Oddziału ZLP, WKZZ, przedstawiciele prasy i radia, Wojewódzkiego Domu Kultury oraz WIMBP. Wkrótce zostaną utworzone komisje w powiatach.

(jg)

Fot. Z. NASIEROWSKA

### Radzieckie wydawnictwo o Chopinie

(mf). W Leningradzie przygotowano do druku wydawnictwo pn. „Chopin, jakim go słyszymy”. O polskim kompozytorze piszą m. in. Dymitr Szostakowicz, Henryk Neuhaus (zmarły niedawno pianista i pedagog spokrewniony z Karolem Szymanowskim), Alfred Cortot, bułgarscy chopiniści Andrzej Stojanow i Tamara Jankowa. Do zbioru włączono również wypowiedzi polskich muzyków — Ignacego Paderewskiego, Karola Szymanowskiego, Wandy Landowskiej i Zbigniewa Drzewieckiego.





KORESPONDENCJE • POLEMIKI • Dyskusje • KORESPONDENCJE

niemiecki, ale słowiański, względnie śląski... (str. 9) — mowa o XIV w.) — Nie rozumiem tego zrośnięcia...

Nie rozumiem...

DROGA REDAKCJI

Będąc stałym czytelnikiem „Nowiny” chciałbym uzyskać odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. Dlaczego w soboty „Nowiny” i „Widnokrąg” są wspólną własnością w cenie 1 zł...

Dlatego cieszę się, że mój „Powrót z Rzymu” spowodował u Pana aż tak mocną reakcję. Przy okazji niech mi wolno będzie zwierzyć się, że byłem już nieraz — jako autor wierszy — obiektem ataków a czasem aplauzów.

Różnie bywało, kiedy któryś z moich utworów dotknął uczuć osobistych czytelnika: po opublikowaniu na łamach „Widnokręgu” utworu „Modny pies” otrzymałem od „psich humanistów” nawet obraźliwe listy.

Pani Stefanii Jacyszyn, artystce-plastyk z Przemysła, podobał się natomiast m. in. mój „Liść” i uczucie to wyraziła następująco: „Przeżyłam gratulacje — „Liść” i poprzednia pańska twórczość — jest doskonała”.

A Pan — podobnie jak Jego koleżdy — nie rozumie „Powrotu z Rzymu”. Dziwi Was to dlatego, że posiadacie dyplomy ukończenia szkół średnich, a nawet studiów wyższych. Dla mnie nie stanowi to większego zaskoczenia. Najczęściej zrywamy się na współczesną poezję czy malarstwo, a twierdzimy, że dobrze znamy i rozumiemy Mickiewicza, Słowackiego. Są ludzie, którzy czytają systematycznie jakiś dziennik — i są nadto przeświadczeni, że to im wystrzela dia zaspokojenia ich „kulturalnego głodu”.

Ażby wiersz mój nie śnił się Panu po nocach — i żeby uniknąć potrzeby czytania go ponad 100 razy — wyjaśniam, że stanowi on reakcję na ideologię Watykanu. Droga metafor i w sposób możliwie skondensowany buduje most pomiędzy rzeczą, a pojęciem. Znajomość mitologii, Pisma Świętego, praktycznego zastosowania tej ideologii i widzenia jej przemian — stanowią jeden z warunków właściwej interpretacji „Powrotu z Rzymu”.

Doprawdy, jakie ja na rzecz Pana świądcze ustępstwo — tłumacząc wiersz na język prozatorski, a to już — jak twierdzą niektórzy — stanowi profanację idei poezji. Wiersz się odbiera, albo się nie odbiera — w zależności od predyspozycji i przygotowania czytelnika.

Z poważaniem

Mieczysław Jacyków Rzeszów Dąbrowskiego 58/11

Nie zajmujemy stanowiska w sprawie ogólnikowych zarzutów. Ale sądzimy, że warto czasem przeczytać nawet „Widnokrąg” np. artykuł S. Grabowskiej pt. „Wokół prawa do eksperymentu” nr 46 z 16 listopada br.

Recenzje twórczości poetyckiej Tadeusza Kubasa znajdzie Pan w ostatnim numerze miesięcznika „Poezja”.

Odpowiedź autora wiersza zamieszczamy poniżej. RED. (str. 14)

Największym niebezpieczeństwem dla utworu jest przemilczenie jego istnienia. Utwór skazany przez czytelnika na uczucie obojętności umiera z chwilą narodzin. TADEUSZ KUBAS

Z poważaniem

TADEUSZ KUBAS

„Indywidualnie czy zespołowo?”

(W odpowiedzi doc. Fr. Kotuli)

W „Widnokręgu” nr 42 (368), z dnia 20 października br. pisze doc. F. Kotula, w artykule „Indywidualnie czy zespołowo”, o kilku problemach pisania przewodników turystycznych na tle mojego opracowania „Jasio i okolice”.

W słowie od autora napisałem: „Książeczka, którą oddajemy do rąk Czytelników, ma stanowić zbiór podstawowych informacji o Jasiu i powiecie jasielskim. Dla turysty będzie wspaniałym przydatnym i pomocnym w podróży w tych okolicach, a dla stałych mieszkańców może stanowić odkrycie spotykanych na co dzień faktów i śladów wydarzeń, pozwoli ocenić ich dodatkowe walory i rozmiary”.

W swoim artykule p. doc. F. Kotula stawia sprawę jasno, pisząc: „W rezultacie jest to publikacja ciekawa i bardzo pożyteczna. Mimo tego są jednakże i „ale”... Dalej wylicza „zasadnicze problemy”, na które jako zainteresowany autor odpowiem, ponieważ występują w kontekście omawiania przewodnika „Jasio i okolice”.

Może jeden człowiek zebrać materiał do opracowania, bo dokonał tego przede mną i ja też spróbowałem dając „publikację ciekawą i pożyteczną”. Jednak przewodnik jest tylko zbiorem podstawowych informacji, a te wynikają z obszernej co prawda, ale jednak literatury naukowej, a niekoniecznie z własnych badań, które tu i ówdzie pomieściłem. Do takiej pracy ma jednak jeden człowiek wystarczającą ilość przygotowania, energii i pracowitości, do czego w moim przypadku dołączyłem doświadczenia długoletniego przewodnictwa w PTTK. Szkoda, że nie pokusił się na taką odpowiedź p. doc. F. Kotula, pomimo że jak stwierdza ma wyrobione zdanie.

Są jednak te „białe plamy i plamki”. Niestety, nawet poważne rozprawy naukowe zawierają też „białe plamy” i w tym chyba tkwi jedna z sił napędowych badań naukowych, dążenie do ich zlikwidowania. W przewodniku może ich być więcej lub mniej, bo działa tu jeszcze sprawa wolności wyboru faktów

oraz konstrukcja treści opisu, które muszą przemówić do turysty konkretnym obrazem środowiska. Treść ma dać informację o tym, co turysta spotyka i widzi w swym otoczeniu, a nie to, co mógłby jeszcze zobaczyć, gdyby... poszukiwał skorup pod nogami lub na sąsiednim polu, albo rozpytał mieszkańców, jak się też owe pole nazywa, bo mu w przewodniku piszą, że to „zaczyszko”, a on ma przed sobą tylko ściernisko. Chodzi więc o konkretność i swoistą prawdziwość informacji, o jej „sprawdzalność” w terenie. Działają więc przy pisaniu przewodnika pewna konwencja, o której pamięta autor — opis miejsca musi być realny, a nie hipotetyczny. Opis musi być możliwie prosty, bo obliczony na przeciętnego czytelnika. Stąd mogą powstać „białe plamy” rozwiązane w specjalistycznej literaturze przedmiotu, które autor świadomie popelnia, kierując się właśnie „sprawdzalnością” informacji i jej przystępnością. Inna już sprawa, jeżeli szeroki nawet wachlarz literatury nie objął wszystkich zagadnień w danym środowisku. W tym przypadku autor przewodnika nie może wyrecać specjalistów różnych dziedzin nauki w ich działalności i dawać turystyce domorosłe informacje o przyszłych konkretnych jakby nie było wynikach badań naukowych. Wiąże się to ze sprawą powstania dawniejszych poglądów w starszej literaturze przedmiotu. Są i takie przypadki, ale jeżeli nowej literatury nie ma, to co zrobić? Odpowiedź jednoznaczna, jak powyżej. Jest tu i jeszcze trzeci problem — jeżeli ta nowa literatura nie koryguje błędnych wyników dawniejszych badań, to czy ma to zrobić autor przewodnika? Czy i w tym przypadku dopomoże proponowana „zespołowość” opracowania przewodnika.

Na tym tle p. doc. F. Kotula powołuje swoje „ale”, że widzę w Kiełcach cmentarz wojenny na Wzgórzu, a nie relikwiarz grodu na tymże wzgórzu. Dla turysty cmentarz wojenny jest widoczny, ale ślady grodziska pomimo zasugerowanego opisem, w to już wątpię. A wprowadzić do opisu jeszcze ten element w tym miejscu i w jeszcze wielu miejscach w powiecie, to przewodnik już nie byłby zbiorem podstawowych, ale szczególnie cennych informacji. Stąd jego objętość byłaby pokaźna, a czytelność wątpliwa.

Turysta chce mieć w przewodniku jednoznaczną informację, a nie zbiór domniemań o tym, co kiedyś było w danym miejscu, gdzie ślady są widoczne tylko dla specjalisty. W przewodniku nie ma miejsca dla polemiki i hipotez — są informacje, albo jest ich mniej. Decyduje tu też dostępność miejsca, o którym piszemy, bo trudno zachęcać turystę, by przepływał się w bód przez rzekę lub jechał na drodze, która jest niedostępna dla motocykla czy samochodu — bo może zobaczyć taki lub inny obiekt. Musi się tu dokonać pewnego wyboru i doboru informacji, na tym polega użyteczność i przydatność przewodnika, a wtedy powstają też „białe plamy”.

Pisząc przewodnik musi pamiętać o zasięgu wzroku turysty i dlatego zarzut mi postawiony, że wyjątkowo duża ilość grodów w Jasielskim nie została powiązana, nie jest możliwy do przyjęcia. Owe „wiązanie” kilku punktów odległych od siebie o kilkanaście kilometrów (bez mapki), a co wrażliwość obiektów powstałych i funkcjonujących w różnym czasie (w zasadzie od IX—XIII w., inne też wcześniej) byłoby całkowicie sztuczne, a co za tym idzie, chyba błędne. Przecież tego nie dokonano jeszcze w literaturze poza polemiką Pana głosem („Uwagi o systemie” (ciąg dalszy na str. 8)

Jarmark pieśni i tańca

W artykule Juliana Woźniaka, pt. „Jarmark pieśni i tańca” umieszczonym w nr 47 „Widnokręgu”, z dnia 24 listopada br. przy pochlebnej wzmiance o występie kapeli ludowej z Bud Łańcuckich na Rzeszowskim Jarmarku Pieśni i Tańca w Mielcu znalazł się taki zwrot: „Przełajowali jednak zbyt zwulgaryzowanymi przyśpiewkami”.

„Wesele budziańskie”. W „wesele” tym, podobnie jak w innych tego typu widowiskach, przyśpiewki wykonywane są przez swatów i družki weselne. Ale przyśpiewki te nie mają nic wspólnego z wulgarnością. Poza tym sama kapela nie śpiewa nigdy. Nie śpiewała też w Mielcu. Wspomniane więc wyżej sformułowanie nie odpowiada prawdzie. Przy okazji pragnę zaznaczyć, że dawne wesele wiejskie, znane mi bardzo dobrze z życia, były poważnym, uroczystym, pieczołowicie i starannie wykonywanym obrzędem. Cechowały go oprócz

momentów wybitnie nastrojowych, lirycznych (np. pożegnanie młodych z rodzicami przed ślubem, osepiny), także momenty kapitalnego humoru oraz żartobliwego przekomarzenia się. Nie było jednak wulgaryzmu. Jeśli wśród pieśni weselnych, często pod względem muzycznym i poetyckim prawdziwych perełek, znalazła się czasem piosenka o treści wulgarnej, był to, że użyję dzisiejszego określenia, zwyczajny chulański wybrzyk. Nie stanowiło to jednak zasady. JAN MICAL



Doblego wprowadzie końca Dni książki zaangażowanej pod hasłem „Człowiek — Świat — Polityka”. Tego typu pozycji nigdy nie jest za dużo, stale znajdują swoich zwolenników i czytelników. Oto kilka dalszych nowości. Władysław Gomułka: O PROBLEMIE NIEMIECKIM. KIW, s. 512, ce na 20 zł. Ukazała się w okresie trwania V Zjazdu PZPR. Jest dowodem, że słowa i sekretarza KC naszej partii były i są konsekwentnym nurtem polityki prowadzonej od wielu lat. Książkę otwiera list otwarty KC PPR do delegatury krajowej rządu gen. Sikorskiego, z dnia 15 stycznia 1943 r. Kończy przemówienie wygłoszone na dożynkach w Warszawie w tym roku.

Zenon Kliszko: POWSTANIE WARSZAWSKIE. KIW, s. 146, cena 10 zł. Są to wspomnienia i refleksje na temat sierpnia 1944 roku w Warszawie pisane przez człowieka, który w mundurze podporucznika brał sam udział w tym historycznym wydarzeniu. Zamiast wstępu przemówienie wygłoszone przez tow. Kliszkę na akademii z okazji XX rocznicy powstania warszawskiego. Albin Plocica: GOSPODARKA INWESTYCYJNA. KIW, s. 104, cena 5 złotych. W serii: Kierunki doskonalenia gospodarki między IV a V Zjazdem PZPR. Stanisław Werewka. PROBLEMY POSTĘPU TECHNICZNEGO. KIW, s. 92, cena 5 zł. W serii: Kierunki doskonalenia gospodarki między IV a V Zjazdem PZPR. Tadeusz Kierczyński, Urszula Wojciechowska: SYSTEM FINANSOWY PRZEMYSŁU. KIW, s. 96, cena 6 zł. W serii: Kierunki doskonalenia gospodarki, między IV a V Zjazdem PZPR. Jerzy J. Wiatr: NARÓD, PATRYOTYZM, INTERNACJONALIZM. KIW, s. 48, cena 3 zł.

Literatura piękna: Jerzy Edigey: STRZAŁA Z ELAMU. Czytelnik, s. 248, cena 15 zł. Pisarz ten uprawiał niegdyś powieść sensacyjną. Styl ten zachował w prezentowanej powieści. Akcja jej toczy się w Babilonii za panowania Nabuchodonozora w szóstym wieku przed naszą erą. Tadeusz Papier: DZIADEK I RÓŻA. Wyd. Łódzkie, s. 124, cena 10 zł. Autor sam pisze, że „To są fragmenty kroniki jednej wsi; a prawdę rzekłszy historia zaledwie kilku osób tej wsi... A jeszcze ściślej: historia ludzi, których wiązało pokrewieństwo, przyjaźń i konspiracja w czasie ostatniej wojny”. W serii: współczesna proza światowa, kilka nowości: William Faulkner: PRZYPOWIEŚC. PIW, s. 488, cena 35 zł. Szczytowo chyba osiągnęli jednego z najwybitniejszych pisarzy amerykańskich, laureata Nagrody Nobla. W tej ogłoszonej drukiem, w 1954 r. powieści zawiera sumę swych wieloletnich przemyśleń i całą antywojenną ideologię. Pierwsza wojna światowa. Patrick White: WĘZEL. Przeł. M. Skibniewska. PIW, s. 372, cena 30 zł.

Powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy australijskich (ur. w 1912 r.) Krytyka zmaturalizowanego i spłyconego duchowo społeczeństwa australijskiego. Próba syntezy ludzkiego cierpienia. Dobra proza. Herman Kant: AULA. Przeł. S. Blaut. PIW, s. 426, cena 30 zł. Urodzony w 1926 r. autor został wcielony do Wehrmachtu i w 1945 r. wzięty w Polce do niewoli. Jest to powieść autobiograficzna, w której Kant przedstawia dzieje studentów i fakultetu rolniczo-chłopskiego i dalsze ich losy po ukończeniu studiów. Pierwsze lata NRD. Jose Cabanis: IGRANIE Z NOCĄ. BITWA O TULUŻE. Przeł. J. Lisowski. PIW, s. 157, cena 15 zł. Był w Niemczech na przymusowych robotach. Skończył studia prawnicze i filozoficzne. Adwokat w Tuluzie prezentuje tu dwie mikropowieści powiązane osobami bohaterów. Psychologiczne. Analiza stanu człowieka opętanego wielką miłością. David Beaty: SZPADA HONOROWA. Przeł. K. Wojciechowska. Iskry s. 216, cena 15 zł. 50-letni dziś autor w roku 1940 rozpoczął karierę lotniczą. Pozytywa

omawiana to powieść o młodych adeptach lotnictwa. Przygody uczniów w szkole lotniczej. Nowości Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego: FRONTOWI PRZYJACIELE. Wybór i układ Jędrzej Bednarowicz. Cena 25 zł. 30 piosenek wojskowych w układzie na trzy i czterogłosowe zespoły wokalne z towarzyszeniem fortepianu. PROBLEMY ORGANIZACJI DOMOW KULTURY. Poradnik pracownika k.o. z II. cena 30 zł. Adam Kulik: PO WYJŚCIU Z KINA. Psychologiczna problematyka oddziaływania filmu. Cena 22 zł. Wiesław Stradomski: KRECIMY FILM AMATORSKI. Wyd. II Poradnik. Cena 25 zł. Irena Kik: CWICZENIA TANECZNE, oraz wkładka nutowa. Cena 23 zł. Grażyna Dąbrowska: OBRZĘDY I ZWYCZAJE DOROCZNE JAKO WIDOWISKO. Cz. 1—2 oraz wkładka muzyczna na 4 instrumenty. Cena 105 zł. W. Dederko, A. Pytiński: O FOTOGRAFOWANIU PRAWIE WSZYSTKO. Poradnik instruktora. T. I—II. Cena 2 i 56.



## Kartki dla Ewy

## Ikebana

Tak nazywa się sztuka układania kwiatów, a właściwie jeden z jej kierunków. Sztukę tę znano w Japonii już w XIII wieku. Początkowo miała charakter religijny, później także świecki. Dziś, choć minęło kilkaset lat od jej narodzin, nie straciła nic ze swej aktualności. Przeciwnie — na całym świecie zyskała olbrzymią popularność. Od 1956 r. istnieje nawet Międzynarodowa Szkoła Ikebana, która uczy historii układania kwiatów i lansuje nowe kierunki. W stylu awangardowym elementami dekoracyjnymi bywają już nie tylko rośliny, lecz również szkło, żelazo, tworzywa sztuczne. Oczywiście, że kawał drutu i sztyka od butelki bukietu nie przypomina, ale... de gustibus non disputandum.

W Polsce Ikebaną bardzo często nazywa się kenzan — pojemnik z dziurkami do umocowania kwiatów. Kwiaty w kenzanie można ustawić w dowolnym naczyniu. Trzymają się świetnie i są niezwykle dekoracyjne.

Podobno kobiety mają talent zdobniczy. Na poczekaniu wymyślą nową fryzurę i elegancką sukienkę, ale w kwestii dekoracji mieszkań różnie bywa. W niektórych domach przysłowiowe już jelenie dalej ryczą z landszaftów. Straszą haftowane krzyżkami sentencje, papierowe róże, palmy z filcu i orchidee z piór. Do tego ściany w „pikasy”, zasłony w łamańce, a w kącie pokoju śmiertelnie smutny, usychający fikus. Kwiaty kupujemy w lecie, bo są tanie. W zimie mamy je wtedy, gdy dostaniemy w prezencie. Zdarza się to, niestety, rzadko. Mężczyźni wolą ćwiartkę. Często jednak przystajemy przed kwaciarnią, podziwiamy i żal nam każdej złotówki. Chociaż są kobiety, które dla jednej chryzantemy odmówią sobie porcji bitej śmietany z czekoladą. Potrzeba piękna jest w nas bardzo silna. Kwiaty dostarczają wrzusa estetycznych. Czczono je w starożytnym Egipcie, holdowano im na królewskich dworach i w wiejskich ogródkach. Wciąż posiadają bogatą symbolikę, byle wieciec ucieczy nieraz nasze oko.

Ikebana jest sztuką nie tylko dla wtajemniczonych, również dla pomysłowych. Widziałem rozmaite. Do wykonania ich użyto gałązek jędriny, barwinku, kolorowych liści, jarzębiny, osty, tatarak, nieśmiertelniki, kłosy zboża, wrzosa, trawę. Wszystko zależy od inwencji. Zerwane z końcem listopada gałązki tarniny, głogu lub czeremchy zakwitną w domu na Nowy Rok. Bazie można mieć wcześniej. Pewna dowcipna kobieta na słomianym talerzu ułożyła Ikebanę z jarzyn. Nie do wiary, ile uroku tkwi w pięknie wyszorowanej marchewce, kolbie kukurydzy, wąsatym selerze lub peczku rzodkiewki. Do dekoracji używa się także owoców. Świetnie grają ze sobą kolorowe jabłka, śliwki suszone, orzechy, cytryny. Taka Ikebana nie ma naturalnie trwałego charakteru — dzieci likwidują ją błyskawicznie. Nie o to jednak chodzi by rezydowała na poczesnym miejscu przez okrągły rok. Wystarczy, że będzie miłym akcentem dnia codziennego.

## Trzy filmy o Szopenie

W Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi reż. Stanisław Grabowski kończy pracę nad realizacją trzech filmów krótkometrażowych poświęconych Fryderykowi Chopinowi. Pierwszy z nich, półgodzinny nosi tytuł „Przejazdem przez Paryż”; jest to formułka „En passant par Paris” z paszportu muzyka, wystawionego w Warszawie przed wyjazdem z Polski w r. 1830. Uprawiała ona do przejazdu przez stolicę Francji, gdzie Chopin pozostał do końca życia. Zdjęcia nakręcono w

Karlowych Warach, Dreźnie i we Francji, utwory chopinowskie nagrała Regina Smendzińska. Drugi film pt. „Chopin w Paryżu” zapoznaje z Chopinianami paryskimi, głównie z materiałami ikonograficznymi (m. in. przechowywanymi w Bibliotece Polskiej). Wreszcie film „Nohant” stanowi ekranizację jednej ze scen dramatu Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant” — dialogu Chopina z George Sand. Tłem filmu są okolice pałacyku i jego wnętrza.

## Korespondencje ● Polemiki ● Dyskusje

## „Indywidualnie czy zespołowo?”

(Ciąg dalszy ze str. 7)

mie obronnym w dorzeczu górnej Wisłoki”. Małopolskie Studia Historyczne, z. 1/2, Kraków 1966), który był drukowany w czerwcu tego roku, a więc... równoległe z przewodnikiem — głosem, którym niestety, i dziś nie jestem przekonany, podobnie jak hipotezami wyrażonymi w artykule, co do Nowego i Starego Zmigrodu, a stwierdzenie, że „grodzisko miało na oku drogę biegnącą równoleżnikową doliną” w przypadku Starego Zmigrodu, jest mi też wątpliwe, bo droga jest dziś, a czy była w tym miejscu tysiąc lat temu, kiedy istniał gród? Mamy w Jasielskiem dużo stanowisk archeologicznych, ale jeszcze mało badań wykopaliskowych, jeszcze niejedno się wyjaśni, inna już sprawa, czy w oczekiwaniu na wyniki badań mamy tworzyć hipotezy oparte na kruchych podstawach tradycji ludowej, która jest tylko uzupełnieniem naszych domniemań, a nie podstawa źródłowa.

Włączenie do opisu tzw. nazw miejscowych — nazw części wsi, kawałków lasów, pól oraz obiektów fizjograficznych w takim rozmiarze, jak to na kilku przykładach postuluje p. doc. F. Kotuła wyciągając swoje „ale”, a więc jednym słowem wszystko — jeżeli tylko s p i s tych nazw obejmuje w Jasielskiem 40 (czterdzieści) stron druku, spowo-

dowałoby ogromne powiększenie treści. Dołączenie do tych nazw objaśniającego wywodu (etymologia, historia), byłoby zwielokrotnieniem treści. Przewodnik turystyczny to nie studium z dziedziny onomastyki (nauki o nazwach geograficznych i osobowych), ale i n f o r m a t o r dla turysty. W przewodniku jasielskim jest to uwzględnione, jak „rodzinki”, nie jest i nie może być „tworzywem”, a już nie wina autora, że to nie przypadło do gustu mojemu adwersarzowi, który zastrzeżę się, że wymienione w artykule „ale” nie umniejszają wagi książki. Więc po co je zgłaszać w artykule prasowym, bez przeliczenia owych „ale” na możliwości praktycznego zastosowania w treści przewodnika bez obciążenia go pokazanym bagażem domniemań i mało sprawdzalnych przez przeciętnego turystę, realiów — obiektów terenowych. A swoją drogą zachęcanie turysty do poszukiwania skorup na stanowisku archeologicznym, o czym pisze p. doc. F. Kotuła w przypadku wsi Klecie, że „Na okolicznych polach łatwo można znaleźć skorupy naczyn z XI—XII w.”, nie spotkałoby się z entuzjazmem archeologów, wchodziłoby w konflikt z przepisami o ochronie zabytków archeologicznych, jak również z rolnikami uprawiającymi te pola...

Z tego widać, że pisanie przewodnika to coś bardziej złożonego niż „rozstrzelanie” fragmentów treści

przez zgłaszanie całej grupy „ale”, które wywołują nowe w rodzaju zagubienia konstruktywności myśli polemicznej. Winna ona służyć scalaniu, a nie rozkładaniu zaczętej pomyslnie pracy — publikowania przewodników turystycznych z terenu woj. rzeszowskiego — pracy, która nawiasem mówiąc, nie ma jak dotąd nawet odpowiednika w innych województwach. To o czymś mówi.

MIECZYSLAW J. WIELICZKO

## Powodzenie polskiego zespołu estradowego w ZSRR

Wielkim powodzeniem cieszą się występy polskiego zespołu estradowego w ZSRR. Grupa, w skład której wchodzi „Czerwone gitary” oraz piosenkarze — Urszula Sipińska, Nina Urbano i Mieczysław Wojnicki, zakończyła występy w Moskwie i udała się na dalsze koncerty do Rygi, Wilna i innych miast. Przewidziane na dwa miesiące tournée zakończy się w grudniu.



WŁADYSŁAW GRZEBYK — starszy wykładowca WSI w Rzeszowie.  
Rys. J. SIENKIEWICZ

## WIDNOKRĄG ODPOWIADA

„Maria Pola” — Kraków: Niestety nadesłane wiersze nie przekonują nas o szczególnym talencie autorki. Ma Pani skłonność do używania niecelnych i nieprecyzyjnych przenośni i sformułowań, pojęć abstrakcyjnych i to używanych jako symbole. Np. „Nawróciłaś mnie” swym księżycowym dogmatem... ciężka kropla deszczu” jest mieszkaniem Fiękna, Zachwytu, Miłości”... Pisze Pani — „...niepokój przyjścia, dionie uczucia, brama krzyżującego milczenia itd. Ponadto w swoich wierszach przedstawia Pani prawie wyłącznie na opisywaniu ulotnych nastrojów, chwil, czy pejzażu. Brak w nich głę-

szej refleksji, brak określenia własnej postawy w stosunku do świata. Mimo to, można w nich dostrzec sporo wrażliwości i kultury uczuć. Proszę nie liczyć na szybkie sukcesy w poezji.

Rena B. — Dębica: To są utwory nieszkodliwe, jest w nich nawet jakiś nastrój i myśl, ale nie grzeszą ani oryginalnością ani dojrzałością formy. Nie nadają się do publikacji natomiast można je pisać i prezentować najbliższemu, jeśli im to sprawia przyjemność. Może kiedyś zrodzi się z tych prób jakaś trwała wartość?

R. B. — Rzeszów: Opowiadanko o „Strachu” ubożuchem i bardzo pospolite. Z tego, że dziecko przestraszyło się w ciemności bulgocącej rurki przy fermentującym winie nie wynika jeszcze żadna literatura. Czy nie ciekawszego i ważniejszego nie ma Pan do powiedzenia?

M. Sz. — Pisze Pan w liście przesyłając nam opowiadanie o „starym”, że powstało ono w przeciągu 8 godzin, i że jest Pan właściwie wyzbyty złudzeń. My także. Opowiadanie nie ma żadnych wartości literackich. Zresztą jaka praca, taki wynik. W ciągu 8 godzin nie powstają arcydzieła prozy.

„Ren” — Przemyśl: W nadesłanym nam wierszu „Już nie pamiętam” natknęliśmy się na rewelację, ale niestety, nie natury artystycznej. Pisze pan: „Tak! Dla mnie jesteś Moną Lisą. Wenusem/ marzeń, pięknym snem” dalej „stoimy nad słońcem kąpiącym się w lustrze jeziora”... To są rewelacje gramatyczne — dotąd sądziłmy, że powinno się pisać — Ty jesteś dla mnie Wenus, lub stoimy nad słońcem kąpiącym się w lustrze jeziora. Ponadto zaskoczył nas widok oczu, które błyskawicami hasają wśród deszczu. Na temat poezji w tych utworach nie mamy do powiedzenia.

„Marta-Róża” z Rzeszowskiego, M-ska, Mada-Jarosław, „Edwin z Sanoka”, A. B. — Dobrynia, pow. Mielec, Orianta — Rzeszów: Wiersze nie mają żadnych wartości literackich. Nie skorzystamy.

## ZDARZENIA TYGODNIA

Podczas ostatniego koncertu symfonicznego, który odbył się 6 bm. w sali WDK, orkiestra Państwowej Filharmonii im. A. Maławskiego w Rzeszowie wykonała Symfonię z uderzeniem w kotły J. Haydna i suitę „Kasia” St. Wiechowicza. Zespołem dyrygował Jan Kulaszewicz, dyrektor Państwowej Orkiestry Symfonicznej z Białegostoku.

Na program złożyły się również występy Delfiny Ambroziak, solistki Teatru Wielkiego z Łodzi, która wykonała pieśń S. Rachmaninowa i Rimskiego -Korsakowa oraz arie Hanny, St. Moniuszki. Solistą był również krakowski flecista Kazimierz Mozyński.

W Rzeszowie trwa, zorganizowany przez WDK, ZO Zw. Zaw. Prac. Rolnych i Wojewódzkie Zjednoczenie PGR kurs dla kierowników świetlic PGR. Uczestnicy szkolenia w trakcie dwutygodniowych zajęć zapoznają się z problemami pracy k.o., wynikającymi z uchwały V Zjazdu partii oraz tematyką wchodzącą w zakres działalności reprezentowanych przez nich placówek, tj. oświatową, pracy z dziećmi, rozrywkową, wybranymi elementami tańców narodowych i regionalnych, inscenizacją teatralną w programach okolicznościowych, dekoracją wnętrz itp.

Poza wymienionymi zajęciami kierownicy świetlic PGR zapoznają się z pracą niektórych placówek kulturalnych, działających w Rzeszowie oraz uczestniczą w imprezach.

W dniu 30 listopada odbyło się w Rzeszowie wręczenie nagród laureatom konkursu o najlepszy klub wiejski 1968 r.

W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele rad klubowych nagrodzonych placówek (wyniki konkursu podaliśmy w jednym z poprzednich numerów) oraz członkowie wojewódzkiej komisji organizacyjnej konkursu. Podczas spotkania dokonano również oceny współzawodnictwa w roku 1968 oraz omówiono założenia nowego, organizowanego dla uczczenia 25-lecia PRL.

W ramach cieszących się dużym powodzeniem „poniedziałków teatralnych”, organizowanych w klubie WDK „Turkus” wystąpił laureat głównej nagrody Festiwalu Jednego Aktora 1967, aktor Teatru Starego w Krakowie Tadeusz Malak. Zaprezentował on program oparty na tekstach T. Różewicza pt. „W środku życia”, dokumentując jeszcze raz wysoki kunszt techniki gry aktorskiej. Ten sam program T. Malak przedstawił również w rzeszowskim „Klubie Łącznościowców”.

W Klubie „Turkus” odbyło się we czwartek spotkanie z Marią Siedmiograj, kierownikiem literackim i artystycznym Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperka”, autorką wydanej ostatnio nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, trzeciej już z kolei pozycji, przeznaczonej dla teatrów dziecięcych. Zawiera ona dwie sztuki „Syrenie Izzy” i „Bractwo figlarzy”.

W dniach od 2 do 4 bm. w Strzyżowie odbyła się, zorganizowana przez WDK i WKZZ w Rzeszowie, kursokonferencja kierowników PDK, ZDK, klubów zakładowych i powiatowych poradni kulturalno-oświatowych.

Podczas zajęć omówiono zadania tych placówek, wynikające z uchwały V Zjazdu PZPR oraz odbyło się spotkanie z delegatem na Zjazd Marią Augustynową.

Program obejmował także punkty, jak metody i formy kontroli placówek k.o., hospitacje zajęć w placówkach pow. strzyżowskiego oraz ich ocena.

Uczestnicy szkolenia zostali także zapoznani z zasadami współzawodnictwa placówek kulturalno-oświatowych, organizowanego z okazji 25-lecia PRL.

Zgodnie z regulaminem ogłoszonego w roku kulturalnym 1968/69 konkursu „Bliziej teatru” upłynął już termin nadsyłania zgłoszeń.

Jak wynika z informacji organizatora akcji na szczeblu województwa, tj. Oddziału Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich przystąpiło do niego 88 organizacji społecznych, związkowych oraz placówek k.o. z terenu miast i wsi oraz 10 placówek powiatowych oraz Państwowy Teatr im. W. Sienkiewicza i Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperka”.

Teatr Poezji Wojewódzkiego Domu Kultury wziął udział w Festiwalu Małych Form Teatralnych w Cieszylinie. Uczestniczyło w nim 19 zespołów z Polski południowej, Rzeszowski zespół zaprezentował program pt. „Czarne kwiaty” C. K. Norwida w reżyserii Dariusza Dubiela i zajął II miejsce za renomowanym zespołem z Huty im. Lenina, nagrodzonym dwukrotnie na ogólnopolskich festiwalach poetyckich.